

# ODRODZENIE

TYGODNIK

Nr. 2-3

Lublin, 17 września 1944 r.

Rok 11

ADAM WAŻYK

## Pierwsza Armja

Dziś nazywa się Pierwsza Armja. W pierwsze dni wolności Lublina maszerowała ulicami miasta, prezentując swoją broń rozmaity, świetną, pochodzącą z arsenałów Związku Radzieckiego. Wypytywano żołnierzy, gdzie przebywali przez lata wojny, zanim ich do wojska powołano. Padały w odpowiedzi nazwy dziwne, zawiązane, zauralskie, środkowoazjatyckie. Najstarszy, choć nie jedyny rodowód tych żołnierzy, zebranych z odległych połaci Związku Radzieckiego, wywodzi się z pewnej miejscowości w pobliżu Riazania, z Sielc nad Oką. W okolicy tej wioski formowała się w maju ubiegłego roku pierwsza dywizja polska — Kościuszkowcy, w sierpniu — druga, Dąbrowszczacy, w styczniu — trzecia, Trauguttowcy, formował się cały korpus, który potem miał się rozrosnąć w armję.

Jak się to stało? W początkach roku 1943 uchodźstwo polskie w ZSRR znalazło się w przykrych sytuacjach: bez oparcia moralnego, bez reprezentacji, bez pomocy, bez myśli przewodniej. Związek Patriotów Polskich postanowił zorganizować uchodźstwo i skupić je dokoła sprawy nowych formacji wojskowych. Inicjatorką tej organizacji, duszą tej sprawy była literatka. Wojsko formował doświadczony żołnierz, dyplomowany oficer polski. Wasilewska rzuciła na stałe cały swój autorytet moralny, aby uchodźstwo polskie mogło odżyć myślą o czynie, aby to wymarzone wojsko zyskało prawo do życia i środki do rozwoju. General Berling przemieniał cywilów w żołnierzy.

Polonia w ZSRR tworzy gdzieś większe skupiska. Nad Oką powstało skupisko osobliwe: tu przybywali ludzie zewsząd, tu był już skrawek Polski, samoistnej, obozowej, żołnierskiej, jeszcze nie narodzonej, dopiero wyłaniającej się ze świąta cieni. Mówiło się nawet, że ta Oka przypomina Wisłę i dojmujące wspomnienie Wisły płynęło piosenką żołnierską, nurtem nowej nadziei. Kiedy ruszymy do walki, kiedy dotrzemy do kraju, kiedy się to stanie, nikt nie mógł dokładnie przewidzieć, ale tam w barakach i namiotach — latem, w ziemiankach — jesienią — i zimą, wstępowała w ludzi pewność, że to się stać musi.

Nie wszyscy zresztą tam zaczęli. Uzupelnienia i Kilińszczaków formowano gdzieś indziej, w Sumach. Dziejopis to wszystko uporządkuje i dokładnie spisze. Żołnierz będzie pamiętał do śmierci godzinę swoich narodzin. Mundur — to było podniesienie godności, bośmy byli zagubieni w kraju, gdzie wszystko żyje myślą o froncie i wszystko dzieje się w związku z tą myślą. Mundur — to było oczywiście prawo Polaka do walki. Mówiono żołnierzowi: tędy prowadzi najkrótsza droga do Polski, wiedź i pamiętaj, że tę drogę utworzył ci Armja Czerwona. Czy nie okazało się to prawdą? Świadkiem na dzisiaj Wisła. Cokolwiek zapowiadano żołnierzowi, bieg wypadków potwierdzał. Natura lubi drogi najkrótsze i człowiek lubi prawdę.

Sprawa nie była ani prosta, ani łatwa. Są tradycje, czy nawyki geograficzne, są w dziejach drogi schodzone przez żołnierza polskiego. Zazwyczaj szedł przecież z myślą wywołującą do Kraju z zachodu na wschód. Pierwsza dywizja im. Kościuszki, pierwszy korpus, pierwsza Armja Polska w ZSRR odwróciła kierunek marszu. Przeszliśmy z głębi Rosji, w przymierzu z nową Rosją. Formując wojsko na emigracji wschodniej, trzeba było przełamać dawne nawyki geograficzne, dawne tradycje. Trzeba było przekonać ludzi, których los nie pogłaskał, aby wyrosli świadomością ponad swój los, aby zechcieli pojąć i uznać, że właśnie w naszych czasach dokonywa się stanowczy zwrot w dziejach sąsiedzkich, pobratymczych, ale dotąd niezgodnych narodów. O rzeczach dla was oczywistych, jak to, że słońce świeci i że Niemiec jest wściekłą bestją, trzeba było tłumaczyć ludziom, którzy nie mieli z Niemcem okazji, a słońcu nie dowierzali. Piłowali lasy o 5.000 klm. od kraju, jętrzenie żalem i zgryzotą, zaskorupiali w wątpieniu i czarnej niewiedzy. W Sielcach czy w Sumach, czy gdziekolwiek zaczęli się przekształcać w to, czym są dzisiaj, a są ponad wszelką wątpliwość żołnierzy, którzy wiedzą, o jaką Polskę walczą i chcą o nią walczyć. Nienawidzą wszystkiego, co trąci faszyzmem, będą zębami broniłi demokracji i jak dzisiaj nad Wisłą palą machorkę z jednej paczki z żołnierzem sowie-

kim, tak żadnej już wojny wyobrazić sobie inaczej nie mogą i nie chcą.

Mówiono żołnierzom, wychowywano, kształcono... Za temi nieosobowemi formami kryje się codzienna, benedyktyńska praca oficerów i podoficerów niegdyś zwanych oświatowymi, od czasów bitwy pod Lenino na Smoleńszczyźnie przemianowanych w dowód uznania na oficerów i podoficerów polityczno-wychowawczych. Weterani dawnych wojen słusznie zapytają, co to za zwierzę? Bo też w dawnym wojsku takiego aparatu wychowawczego nie było. Dawne wojny nie były walką idei; posyłano rekruta, wystawiano tyle, a tyle bagnetów. Dzisiaj naród szkoli i posyła w pole świadomych obywateli.

W społeczności, którą stanowi wojsko, zaszły głębokie zmiany, rozszerzyła się skala wartości. Dawniej wchłaniając intelektualistę, literata, poetę, wojsko odrywało go od jego powołania, mundur go krępował. Zaczątek Wojska Polskiego w ZSRR przyciągał magnetycznie wszystkich literatów, którzy znaleźli się na emigracji wschodniej, prawie każdy mógł znaleźć w wojsku swoje miejsce, dające mu szerokie pole widzenia, i wędrował z tą ludzką, przekształcającą się częścią kraju na zachód.

Wiosna nad Oką w chmarach komarów, nieprzebyte zasy snieżne na Smoleńszczyźnie, maj w nadbużańskich błotach i lasach i wreszcie ten most na Wiśle, zbudowany w ciągu jednego dnia i dwóch nocy przez naszych saperów — to kawał drogi nie tylko w przestrzeni i czasie. Obok garsteczki dawnych oficerów polskich i oficerów Polaków z Armji Czerwonej, którzy przybyli do nas, aby zapewnić tę straszliwą lukę, jaką Niemcy wyrąbali w naszych kadrach swoim mordem w Katyniu, wyrosła nowa kadra oficerska, do której dostęp ma każdy, bez względu na pochodzenie społeczne, czy cenzus naukowy. Sojusznik sowiecki dostarczył nam broni, olśnił nas blaskiem nowej broni, jakiej nie znał dawniej żołnierz polski, więc groziła nam megalomanja, aleśmy wiedzieli, że idziemy do kraju walczącego, aby stać się częścią jego sił zbrojnych, aby zespolic się w jedną całość z tymi, co napłyną do Wojska Polskiego. Tak się też stało naturalną rzeczą kolejną.

Ta sama wizja demokracji zrodziła wśród uchodźstwa i w kraju tą samą koncepcję wojska. Pierwsza Armja nie jest już dzisiaj niczem odrębnym. Nie będzie miała własnych tradycji, ale tylko własne wspomnienia. Ludzie się przemieszają, jedni pozostaną w wojsku, inni przejdą do pracy cywilnej. Gdziekolwiek się jednak znajda, czemkolwiek się będą zajmowali, o każdej porze dnia i nocy pamiętać będą: armja — godność narodu, armja — żrenica oka.

ADAM WAŻYK

## Serce granatu

W roku trzydziestym dziewiątym, niegdyś, odlamek muru skroń ci znieczulił, ktoś cię pochował tam, gdzie poległeś, w sercu śródmięscia, w żalowie ulic.

Wiosną kielkuje spod rumowiska twojego domu zblakana trawa; grób bez ojczyzny, proch bez nazwiska i mury stoją rzewne — Warszawa.

Przyjdę do ciebie pod załom ulic — drogą najkrótszą marszem zdaleka, tam, gdzie pod kamień grób twój się wtulił, przyjdę, wstydlivy prochu człowieka.

Na to, byś w mieście żyjącem leżał i w ziemi swojej wiadomy światu i na to właśnie trzykroć uderza w rzucie na zachód serce granatu.

maj 1943.

## Warszawo!

U nóg twych kładę: O! żałośna wdowo

Polskiego ludu! O! Matko w żalobie

Tych co śpią w krwawym pochowani grobie,

I tych — co wierzą, że wstaniesz na nowo;

O! ty gotowa twą krew Chrystusową,

Rzucić na twarze wąpiące i blade,

WARSZAWO! tę pieśń ci pod nogi kładę,

I nóg skrwawionych twoich sięgam głową.

JULJUSZ SŁOWACKI

HELENA BOGUSZEWSKA I JERZY KORNACKI

## Powrót

Gromadzą się siły narodu, rozmięcione wojną i niewolą — wracają i znowu się łączą. Każda dłoń może otrzymać oręż. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę, poprzez powrót wszystkich do jednego, poprzez ciągle rosnące gromady tworzy się zbrojny cios polskiego wojska.

Chwila jedyna, wiekopomny czas — oglądamy się przez lzy wdzięczności... Jest wojsko polskie liczne i orężne. Nad każdą twarzą widzianego żołnierza, nad każdym orłem na czapce, nad każdym karabinem, któż z nas nie myśli o dowództwie? Bo to przecież nie cud. Nam nic nie spada z nieba. Oręż, który widzimy w zbrojnej ręce Polski — to dzieło zespołu dowódców.

Front grzmi i huczy, toczy się, podejżdza — drogami i bezdrożem w zmęczeniu i krwi śpieszy ku Warszawie. Już przebyta Wisła, a w dali już pożary widne nad Prusami... Ciągłe na Zachód.

Twórcza myśl o froncie biegnie na zachód pierwszy raz, aż do nowych granic ojczyzny na zachodzie. Serdeczna pamięć w każdym polskim sercu czujnie pamięta, że Grunwald zwycięski Prus nam nie oddał. Strwoniliśmy rozum i siły pod Wiedniem w zwycięskim locie husarji, a Samosierra wiatrem szwoleżerów rozwiała naszą Polskę...

Pamięć dziejowa, doświadczenia wieków, mówią nam dzisiaj, byśmy nie gdzieindziej, tylko tutaj w Lublinie szukając, znaleźli to, czego nam brakło, gdy mieliśmy oręż i odwagę Grunwaldu, Wiednia, Samosierry. Rozum wojenny, twórcza myśl o froncie, nie gdzieindziej tylko tutaj w Lublinie, wielkim głosem kierowników naszej Polski Ludowej, ich trudem, ich staraniem ukazują cel nowej granicy. Realnie, rzetelnie wiemy tym razem. Ma być cały Śląsk, ma być Odra, Gdańsk, Prusy.

Raz jeszcze: — nie gdzieindziej, tylko tutaj w Lublinie, znaleźć nam dzisiaj ognisko polskiej racji stanu i źródło narodowych poczynań. Raz jeszcze tu mamy oręż i tu mamy hasło dla dalszej walki przez trud i przez krew, aż do zwycięstwa —

— i daleko het, już po zwycięstwie...

Tutaj pierwszy raz ukazano nam najmilszą twarz jutrzejszej Polski, tej nie tylko swobodnej, nie tylko zwycięskiej, ale tej sprawiedliwej, ludowej, powszechnej... Dekretami o sądach przysięgłych i o reformie rolnej zespół demokracji naszej zbudował nazawsze niezniszczalne podstawy jutrzejszego ustroju.

Ustrój jutrzejszy — tęsknota wczorajsza. Gdzież indziej szukać będziecie ducha naszych dni i gdzież indziej znajdziecie, jak nie w księgach tęsknoty naszych wielkich mistrzów głoszących Polskę Sprawiedliwą? Oni mieli ją w sobie: — Mickiewicz, Słowacki, Staszic, Orzeszkowa, Nałkowski, Radliński, Witkiewicz, Prus, Świętochowski, Wyspiański, Ze-

łomski, Abramowski, Krzywicki, Czarnowski, Dębiński — oni mieli ją w sobie, Polskę sprawiedliwą, ludową, Polskę wszystkich rąk. Święta twarz nowej Polski wykuwanej w trudzie, w granicie wojny, przenaświadczył kształt Jej nowego ustroju, Jej umiłowany uśmiech matki dla wszystkich — przecież nie gdzie indziej, tylko w słowie polskich mistrzów przemieniował kwitnąc, odkąd tylko polska świecka wolna myśl społeczna poczęła świecić w świetle...

Wracamy. Wielka pora powrotu. Kto z pożaru spod kul poprzez front, kto z bezbrzeżnej dali gościnnej ziemi radzieckiej, kto zza morza z długich lat tułania... By chwycić za karabin, kierownicę motoru, słuchawkę telefonu, szpadel, kielnię, pług, młot, bandaże i pióro. Żywi powracają i w żywych zmarli powracają... Oglądamy się, witamy w żalobie, w podziwiewie, we wdzięczności i w pracy.

Przypomina się... Pamięć dziejowa, doświadczenia wieków, śpiewają gorzko w każdym polskim sercu piosenkę polskich powrotów. Bo przecież nieraz wracaliśmy w ciągu wieków zdaleka do siebie, z powrotem do ojczyzny, by razem, by społeczeństwem, pełni nadziei, pełni chęci najlepszych...

I nie pomogły pochody trzeciomałowe i nie pomogły solenne nabożeństwa i żaden dekret nie zagroził i żaden rząd nie zabronił, byśmy zmartwychpowstałej Polski już nazajutrz rano nie wieszali okrutnie na pasku paskarstwa i ledwie żywej nie palili w lajnie kłótni partyjnej. Takie były dotychczas wszystkie nasze powroty.

Ten powrót musi być inny.

Tu w Lublinie, skąd idą na front oddziały naszej siły, tu w Lublinie, skąd w szeroki świat idzie hasło nowych granic i pieśń nowego ustroju, tu w Lublinie ludowym polska naroda, świecka, wolna, myśl społeczna winna zejść się, wrócić ze wszystkich obczyzn i tułaczek ziemi, zgromadzić się i złączyć w społeczne ognisko naszej nowej kultury. Wolają o to doświadczenia wieków niedoli naszej, dopomina się dziejowa pamięć w każdym polskim sercu o ten jedyny ratunek na polską chorobę wieczystego rozbicia.

Wojsko polskie ma dowódców wiodących je w bój sprawnie i pewnie. Państwo Polskie ma kierowników mądrych i świadomych, czujnie patrzących w dal. Zostaje naród polski po strasznej chorobie faszyzmu rodziny politycznej, naród ciągle w mękach jeszcze donosu, jeszcze zdrady, i jeszcze ciągnięcia po manowcach nienawiści partyjnych, naród upodlony niewolą hitlerowską, naród wiecznie ślepy w ciemności zabobonu.

Ten naród trzeba uwolnić od niego samego, ten naród trzeba wychować w kuźni wolnej wiedzy społecznej, która rozgłośnie głosi młotem o kowadło uspołecznienie, życia poprzez wspólną dzielność, poprzez dzielne współdziałanie i pomoc wzajemną w druźbie wzajemnej.



JULJAN PRZYBOS

# PÓKI MY ŻYJEMY

Juljan Przybós napisał w ciągu wojny tom poezji p. t. „Póki my żyjemy“. Zbiór ten, pamiętnik poetycki okrutnych lat, kolportowany był tajnie w rękopisach i maszynopisach.

## U szczytu drogi

Samochody bez benzyny uciekały pędzone przez strach;  
przestrzeń raz w raz wzdłuż dróg padała na wznak,  
spod słońca jak spod tłoku  
bombowce wgniatyły uchodzących w piach.  
Tylko noc, widna od łun, wyprostowywała się cała,  
czerwony kur pożaru piał.

Hamulec zgrzytnął przed ostrzem podków,  
drogę zamknął mi  
trup konia.

Jeździec pod drzewem przydrożnym skonał,  
w próżni po ręce i szablę z gałęzi odleciał ptak.

I włókł się na własnym pogrzebie pochód niedoszłych żołnierzy;  
z żalobną, fałszywą dumą, jak order zdjęty z poległych,  
ktoś współczuł, chelpił się, drwił:  
„Szarżowaliśmy czołgi!“ —  
Jeszcze dziś czuję rozpacz tego wstydu: żem — przeżył.

Znów popłoch aut niósł mię, przekakując biegi,  
szosą z góry — w dół — w górę jak huśtawą mil.  
Świtało, u szczytu drogi  
słońce weszło z pyłu i krwi.

wrzesień 1939.

## W ucieczce

Ziemia, widnokrag za widnokregiem, pokładala się za mną, jakbym skiby odwałal,  
mosty podlatywały na płomieniach, trafione jak ptaki ogniste  
i nasz dom, gdym się obejrzał, rozprysnął się w gwiazdę.

Zatrzymałem się nad twoim śladem.

Na szerokich płaszczyznach — kule ze świstem zszywały je coraz wężiej —  
uniesiony przerażeniem jak zachwytem  
okryłem cię  
gałęzią.

Bracie, skończyłeś żniwo innym narzędziem:  
szablą.

Twoja głowa ze krwi ociekła.  
Twoje ciało w polu wyżęto.

I zgłębiłem doliny do dna żalu.

...I cała Ziemia skurczyła się do jednego miejsca  
zapadłego na objętość  
człowieka.

wrzesień 1939.

## Póki my żyjemy

Huk armat na wysokość łun  
wzrósł,  
niebo wali się z trzaskiem.  
Bezbronny, wbity pociskami w grunt,  
błagam o karabin, jak skazaniec o łaskę,  
i tylko krzyczę — niecelnie  
z rannych i z martwych wstawsz  
Mój wzrok po torach bomb strącony w gruz  
przypada do Warszawy.

wrzesień 1939.

Aż w rozpękły na dwoje słuch  
placz mężczyzn wpadł — i ich, jak nabój,  
[milczenie.

W tej chwili zginął mój brat.

Żegnaj was, unoszący za granicę głowy,  
uciekający do broni,  
gdym tu, w rozwalonym schronie,  
z jeszcze żywych ostatniego tchu  
odtworzyłbym nasz hymn narodowy.

## Nalot nocny

Obracają się w chmurach skrzydła reflektorów,  
wiatrak światła miele ciemność na świt;  
błysk i huk; alarm nocny.

Noc  
na jednej zawieszona gwieździe  
nie wytrzyma naporu •  
płomieni,  
dokona się najkrócej:  
bombą spadła.

Koniec. Kwili świst  
przepiórki tego lata: erkaemu w żyłach.

Za wszystkich w tym nalocie zabitych  
żywy spod pocisków podnoszę się, drżąc  
z mocy.  
Ziemię wplątana w czterdzieści ekliptyk  
w jednym wybuchu  
podrzucę,  
oburącz chwytam czas mojego życia  
cały, stężony w chwilę! —

Niech spełni,  
niech odsłoni mnie światło,  
niech wszędzie  
jedno wszystkich w moim życiu wzeźłych słońce słońce!

Lwów, czerwiec 1941.

## Oczy zabitych

I tu jeszcze  
widzę rozdarte do wapnia pobojuwisko pod Reims.  
Zgruchotany czołg toczy rdzę,  
żelazo krwawi.  
Zdaleka, przeniesione przez powietrze  
patrzę na mnie wywrócone białka ziemi.

Zasieją, zasieją jej oczy rżesami zieleni...

Już cicho  
jakbym pisał pierwszym wążem piórkiem trawy.

Tamto martwe przestworze  
zamknęło oczy.

Tylko oddał przeraźliwie  
patrzy.

A tu w polu usypano świeży kopczyk.  
Nad nim przestrzeń, ocalała po bitwie,  
podniosła w rozpacz  
spod ziemi niedomkniętej  
białe ramię jedyne: brzozę.

## Wiosna 1941

Zielony błysk! Strzeliły drzewa.  
Bielmo śniegu spadło mi z oczu:  
Wiosna! Wyrosła mi nad głowę.

Jakbym najkrwawszą różę z nieba  
zerwał,  
mogę wzniesioną pięścią odczuć:  
Wojna,  
trafiony runął w dół bombowiec.

I ta tylko pozostała mi dłoń  
wolna.

Nad przeciwnym rowem,  
na zoranych pociskami polach  
wybuchajcie z ziemi ogniściej,  
kwiaty dziejowe!  
Maki, przekraczajcie granice!

Tą ręką, bez pługa rolniczą,  
wam, pobici,  
wieńczę  
schron  
dębowym liściem.

Sieję wiatr i zbieram tęczę.

## Niosąc ziemię

Pusty, kamienny widok powoli wylonił  
drzewo, jedno, umowne:  
widmo tych, w które pocisk uderzył i ściał —  
oskrzydlałam mnie dale nowe;  
lecz niosę we wnętrzu dłoni  
wiatr tamtych drzew uwięziony  
jak w zwiędłym liściu.

Armie pancerne, jak żarna, zmiażdżyły  
widnokrag,  
głaz pozostał, w pomnik się wzniosł, —  
a tak się oddaliłem od tamtego siebie,  
że wracając tą gwiazdzistą nocą,  
by się zbliżyć, patrzę w Wielki Wóz.

Inny widnokrag objął twoją szyję,  
noce bez twoich objęć od zórz na darmo spłona —  
mijam  
brzozę chwiejnie uwiadomioną  
czy żyjesz?

Niech mnie cienie drzew bez drzew otoczą  
w znikłym gaju, w którym głos twój zamilkł —  
Co ja czynię żyjąc, ziemię niosąc?

Piszę — odległościami,  
odwracając, karta za kartą, horyzonty i  
nieboskłonny  
do ciebie list —  
nieskończony.

## Wiosna 1942

Lecz słuch, jak liść, jak pąkowie  
w przedświtowej ciszy wyteżam —  
Drzewa stoją trumienne. Odrębne.

Wcześniej rano  
zuchwały świst po gałęziach  
zagaił wysokopiennie,  
śpiew jak las napelniał drzewa,  
śpiew zaieśli martwe drzewa,  
kos je złączył w las: zaśpiewał  
i las — stanął.

Gwoźnica, marzec 1942.

## Noc listopadowa

Dzień w drzewach jak w ranach,  
jesień — krwawa;  
nocy listopadowa,  
żałobo po zamordowanych,  
prowadź!

Budźmy broń w echach leśnych, zakopaną,  
[nieżywą...

Bezbronni, wymarzyłem dla was  
gwiazdę wschodzącą z dłoni:  
granat!  
Tylko wiatr ciągnie z wami gestwiną...

Aż gotowa do wybuchu mściwość  
zatrasnie się w zamku karabinu  
i stężeje w skrót gniewu: w bagnę!

Czuwa z wami sprzysiężona moja troska.

W powstającej do dziejów chwili  
— z gwiazd sygnał błyska ku polom —  
tak ogromnie, przestrzennie pragnę,  
że nam nieba przychyli  
samolot —  
Leci! Rzuci rozkaz!

## Nad poległym powstańcem

Świt zrywa się za każdym wybuchem, —  
padasz.

Wolny, wzniesiony z rodzinnych wzgórz  
słucham:  
to tamtych salw tylko pogłos i pobłysk —  
i z nocy, jak z okna spalonego domu, widzę:  
to plujące ulice Warszawy

nad rannymi, walczącymi o śmierć z bronią,  
rozwijają flagi pobojuwisk:  
nieskończony skrwawiony bandaż.

Krwawisz —  
wolny już.

Gwoźnica, 3 sierpnia 1944 r.



JAN KAROL WENDE

Z CYKLU: SPOTKANIA Z POLSKĄ

## Koncert F-moll

List był prosty, prawie banalny: „Przywiet Wam s fronta. Ja żyw, zdrow i biję fryców. Mam już na własnym swoim koncie czterech... Tu jest znacznie zimniej, niż u nas, ale goniemy Niemców na Zachód i od tego jest nam ciepło... Wciąż jeszcze pamiętam rozmowy z Wami. Przed kilku dniami „rebiata“ z wywiadu przyprowadzili ze sobą „języka“. Ten fryc okazał się muzykiem z zawodu. Przypomniałem sobie Was i podczas badania zapytałem go, dlaczego zniszczył pomnik Szopena w Warszawie... Wyobraźcie sobie, że ten przeklętnik nie wiedział, kto to taki Szopen! Ja mu nie wierzę, udawał, bestja, obawiając się, że zrobimy mu coś złego... Przepraszam, że nie zwróciłem Wam Pisatora. Napisałem do domu, żeby Wam odnieśli. Szlitie wiestoczku“...

Tak pisał na chropawej kartce zeszytowej, złożonej w misterny trójkąt - kopertę, młodszy lejtnant Bobodżanow M., numer poczty polowej 20242, — i nagle wypłynęły z mgły żywe, zawsze uśmiechnięte oczy mego zapomnianego prawie przyjaciela. Był młody, przystojny i inteligentny, w przyjaźni zaborczy jak dziecko i jak dziecko ciekawy wszystkiego — ten Tadzyc - Bobodżanow Machmud.

Poznaaliśmy się z Machmudem owej jesieni, kiedy rozszerzonymi w zdumieniu oczyma wchłaniałem w siebie egzotykę, piękno i kontrasty tego kraju, jakże innego niż w opisach Baedekerów.

\* \* \*

Jak mulle świętemu — Syr Darja zmywa swoim wartkim, gliniastym biegiem stopy niewysokiego łańcucha Kara Mazar, spływającego łagodnie w rzekę i zamykającego miasto od północy. Góry są gołe i bursztynowo - opalowe, i wydają się wymarłe. Ale w ich plisach, układających się równoległe do biegu rzeki, skryła się soczysta zielen pastwisk i roślin uprawnych, karmiąca ludzi i stada. To wszystko — to prawy brzeg.

Na lewym brzegu szaleją kolorowo sady i pola. Jest właśnie tak, że kiedy morele złączą się już tylko na najwyższych gałęziach Zandoli, kiedy na Ołuczy wiśnie krwawią jak zachód, — subtelnym aromatem dojrzwają brzoskwinie, omszone puszkami delikatnym jak policzek dziecka, i płomieniem maków zakwita granat. Wtedy niżej — winnice nęcą cieńmiem i ciepłym zapachem swych szerokich liści, uginających się pod ciężarem drzemiących jakby w kontemplacji, ciemniejących już, i jak narcyz zapatrzonych we własne piękno — kłosi pełnych gron. I wtedy niebo przesącza się przez splątana gęstwinę i wygląda jak morze. A dalej — pola, pola: pszenica, kukurydza i jęczmień, poprzetykane rzadką słonecznikami, jak posągami tancerek, przęających swe giętkie ciała ku światłu. I bawelna. Bawelna — miękka i ciepła, i tak srebrna jak zamykające horyzont śniegi szczytów łańcucha Turkiestańskiego.

— Wczesną wiosną — mówi Machmud — kiedy czubki Kara Mazar są jeszcze białe, pewnej ciepłej nocy bezlistne drzewa odziewają się w pyszny kolorowy strój. Nad ranem budzi cię zakwitający fioletem uruk, i migdał pachnący gorzko i obsypany bielą, i brzoskwinia różem, i wiśnia... i gdy spojrzysz wtedy na miasto ze wznesienia — nie uwierzysz, że to żywe...

— A u was jak? — pyta nagle, i oczy błyszczą w oczekiwaniu odpowiedzi.

— Dawniej u nas wiosną było kolorowo, jesienią było złocisto i kwitł wrzos...

Machmud odpowiada sucho, trochę jakby zniecierpliwiony:

— Nie wiem co to wrzos, ale interesuje mnie Polska, mam przyjaciół Polaków...

Chodzimy teraz po starej dzielnicy i mówię Machmudowi o Starem Mieście w Warszawie. Staram się opisać Rynek, kamienicę Baryczków, Fukiera, zaułki kolorowe i gołębiaste, Katedrę, Zamek, Wisłę... Machmud słucha uważnie, milczy — nie wiem co widzi.

Przed sobą mamy Chodźent. To jeszcze Chodźent: dwa rzędy ślepych murów, sklejonych z ręcznie z podłużnych bryłek niepalonej gliny tworzą te kręte wąwozy, te miniaturowe uliczki i „tupiki“, w których o życiu świadczą jedynie małe wrota rzeźbione w drzewie i umocnione metalowymi kołatkami.

W nagrzanym powietrzu wisi jeszcze zły pył, osiadając lekko na liściach, lustrzących się w zielonych hauzach płaczących wierzb. Tu są olbrzymie jak pięść żaby, śpiewające o zmroku jak słowiki, tu jest cień i woda do picia, doprowadzana przez wąskie kanały - aryki, w których dzieci tadzyckie pluskają się brązowo i głośno, a starcy z namaszczeniem moczą tylko uznojone stopy. Tu jest jeszcze Chodźent...

Patrzysz wgląd takiego glinianego wąwozu, rozpalonego w słońcu jak tygiel i wydaje ci się, że tu nic od wieków się nie zmieniło, że tak właśnie było dawno, dawno...

Mówię do Machmuda:

— W tych murach jakby czas zastygł...

Wtedy jest tak, jak na starych sztychach.

Z muru wychodzi po wodę młoda dziewczyna, balansując na głowie miedzianym dzbanem, a na końcu uliczki ukazuje się na osiołku Tadzyczka w czarnej, gęstej parandzy. Tadzyczka zdaleka już zakrywa sobie twarz i mija nas dumna, obojętna...

— To już historia, — odzywa się nagle Machmud, ciągnąc mnie do śródmieścia, — wasze kolorowe domki na Starem Mieście są skanalizowane, a tu kibitki mają już światło elektryczne...

I po namyśle dodaje:

— Córnka tej Tadzyczki w parandzy jest dziś kierowniczką laboratorium analitycznego, a ja, ja jestem nauczycielem...

— Czy to twoja matka?

— Nie, ale moja matka też jeszcze nosi parandzę.

Siedzimy z Machmudem w czajchaniu, na niskich tapczanach, wyłożonych wytartymi dywanami i pijemy zielony „kok-czaj“ z subtelnymi kolorowymi piętami. Zdała dolatuje szum bazaru, jak wzmocnione brzęczenie much, ale jest tu cicho i wschodnio i — Machmud, pod akompaniament nadawanej przez radio monotonnej muzyki tadzyckiej, opowiada dzieje sterzących przed nami ruin słynnego ongiś meczetu.

We wschodnim opowiadaniu Machmuda, powstają wieki ciemnej wspaniałości emirów i mullów, wieki płożanej nędzy i opiewanego z tęsknotą pierwożyty, by runąć w gruzy — jak opuszczone kibitki w zaułkach starego Chodźentu.

— A teraz jak?

Machmud odpowiada skrótem:

— Jest Wielki Kanał Fergański, elektryczność...

Siedząca przed nami stara Tadzyczka bez parandzy, w fantastycznie zawiniętych na głowie szmatach i obłąkanych oczach fanazycki, zaczyna nagle deklamować jakiś tekst, którego nie rozumie nawet Machmud. Zebraćka płynnie, tęsknie i przeciągle przyzywa kogós czy coś i stopniowo z olbrzymich kolczyków z matowemi rubinami drzenie głowy spływa na całe ciało, wibrując w rytm prymitywnej, nosowej melodii.

I wśród tej inności zmartwychwstałej jakby z bajki, wśród mądrego szepotu siedzących obok z podwinętymi nogami siwych Tadzyczków, zaciągających się z długiego, mosiężnego cybucha i pijących herbatę z jednej pijały — wśród tej kolorowości powiało nagle krajem: — oddechem Wisły, szumem naszych drzew iglastych, niebem łagodnym i kapryśnym, wiatrem pół naszych, rzeźwiącym skroń jak całus. Radio nadawało etiudy Szopena i Machmud mówił z błyskiem satysfakcji i przyjaźni w oczach:

— To wasz...

I po chwili wyjaśnia zupełnie już cicho:

— U nas często grają Szopena.

O nic nie pytam Machmuda. Jestem mu tylko wdzięczny za to, że umie milczeć subtelnie i blisko.

Kiedy po kilku dniach Machmud przyszedł do mnie do domu po obiecaną książkę Pisatora, pytam skąd zna Szopena, skąd wie, że to Polak. Machmud jest trochę zakłopotany, a jednocześnie dumny:

— Ja przecież gram. Gram na szuranie, tamburze, dajri, — mówi jakby usprawiedliwiając się.

Wtedy właśnie pokazałem Machmudowi jeden z dokumentów straszliwego zdżiczenia Niemców: zniszczony pomnik Szopena na platformie wagonu kolejowego w drodze do jakiejś huty niemieckiej.

Machmud był wstrząśnięty. Wpatrywał się w umęczoną twarz Fryderyka, obracał zdjęcie pionowo i poziomo i pytał tylko jakby żaden wany:

— Dlaczego?

A potem w oczach Machmuda zadrgały błyski nienawiści, czy męstwa, nieznanne mi dotychczas i nieoczekiwane w jego twarzy tak łagodnej, niemal kobiecej.

Kiedyśmy się widzieli ostatni raz, Niemiec stał pod Stalingradem i Machmud odjeżdżał na front.

Siedzieliśmy w tej samej „naszej“ czajchaniu i radje znów nadawało Szopena — koncert F-moll. Mury meczetu tłumili nieco tonny, podkreślając ich melodie i smutek i dlatego chyba z za drzew znów wylonił się kraj, znów powiało niebem Warszawy, w którym księżyc płynął między chmurami, jak wśród kry.

Tym razem jednak Machmud nie umiał słuchać. Był zdenerwowany i podniecony nowem, niewyobrażonym nawet życiem wojny, frontu. Wstał nagle — młody, smukły i cichy i zęgnął się prosto, bez patosu, jakby powtarzał formułę:

— Budu im mstit! — za wsio. Za wsio, i za waszego Szopena...

\* \* \*

O śmierci Machmuda opowiedziała mi znacznie później jego siostra, Ozod, o marzących oczach sarny.

## Wojsko Polskie



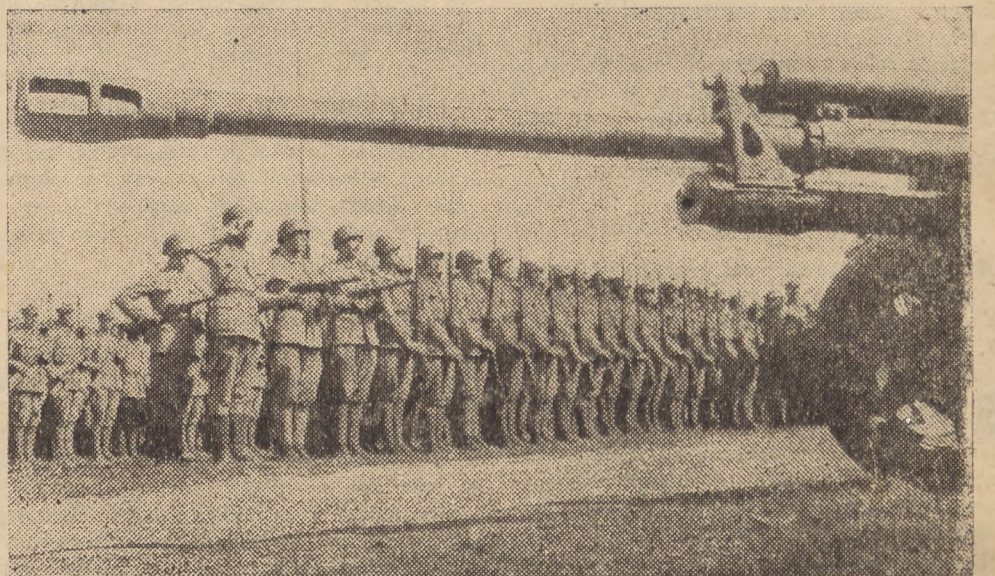
Święto Żołnierza w Lublinie

Fot. O. Samucewicz



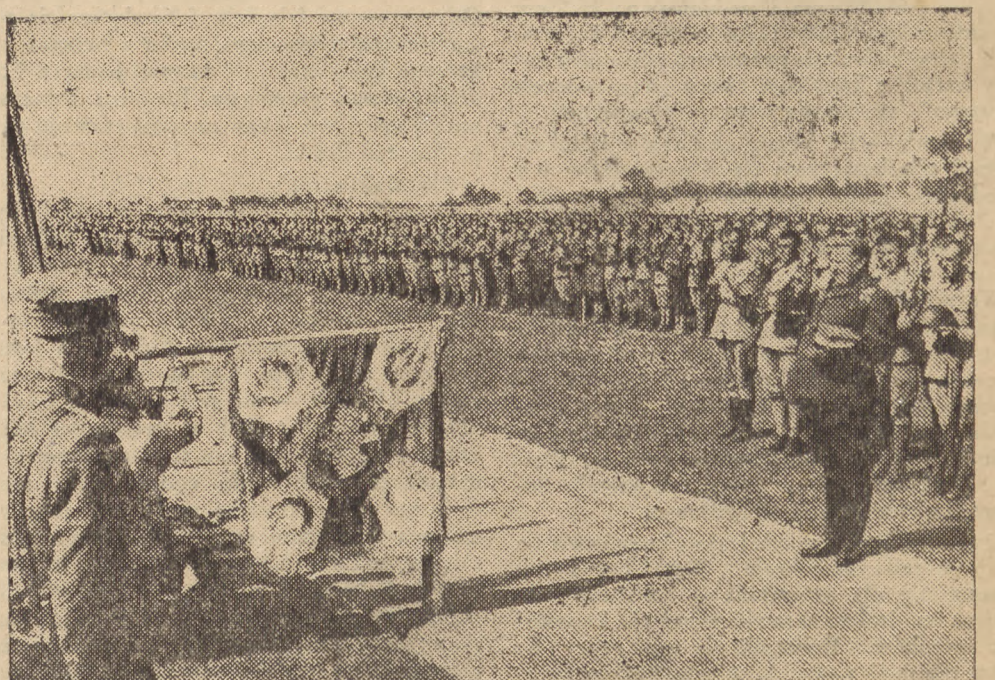
Przysięga IV dyw. im. J. Kilińskiego

Fot. Edm. Zdanowski



Kompanja honorowa podczas przysięgi

Fot. Edm. Zdanowski



Przysięga IV dyw. im. J. Kilińskiego. Na przdzie gen. Br. Kieniewicz

Fot. Edm. Zdanowski



ROMAN WERFEL

# Nowy etap historii Polski

Wydartą sprawiedliwość  
powróćmy ludowi,  
A zapobieżym chorobom,  
zbrodni i morowi.

(Warszawskie Towarzystwo  
Przyjaciół Nauk, r. 1815).

## CHŁOP POLSKI DOSTAJE ZIEMIĘ

Dnia 6 b. m. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego uchwalił dekret o reformie rolnej. Czytelnicy nasi niewątpliwie znają ten dekret. Przypominamy tylko najważniejsze jego postanowienia.

Cała wielka własność ziemska — majątki ponad 50 ha w województwach południowych i centralnych, 100 ha w województwach zachodnich — zostaje wywłaszczona bez odszkodowania. Ziemia należąca do tej własności zostanie podzielona między chłopów małopolskich i robotników rolnych — po cenie równej mniej więcej 20% przedwojennej, z rozłożeniem jej na lat 10. Wreszcie przy podziale ziemi decydującą rolę odgrywają Gminne Komisje Reformy Rolnej, wybrane przez wszystkich uprawnionych do korzystania z reformy. Każdy uprawniony do korzystania z reformy otrzyma przydział ziemi w granicach swego powiatu. Do 30 grudnia cała ta olbrzymia operacja będzie zakończona — przynajmniej na terytorjum wyzwolonem w chwili obecnej od niemieckiego najazdu.

Mówiąc językiem liczb: do Bożego Narodzenia półtora milionów morgów ziemi przejdzie w chłopskie ręce, kilkaset tysięcy rodzin fernali i małopolskich zdobędzie warsztat pracy. A za nimi przyjdzie kolej na tych, co dotąd są pod Niemcem — kolej na Kieleckie i Kujawy, na Krakowskie i Poznańskie, na Pomorze i Zielony Śląsk. Rozpocznie się druga faza reformy — wielki pochód tych, dla których za mało ziemi wykrojono w starych miejscach, którzy zmieniają swe mniejsze gospodarstwa nad Wisłą na pełne dziewięciomorgowe czy nawet większe nad Bałtykiem, nad Odrą, nad Wartą i Notecią.

Dzień 6 września zapoczątkował dokonywany się w całym majestacie prawa, ale niemniej niezwykle głęboki, niezwykle daleko idący przewrót agrarny w Polsce.

Przewrót nie tylko agrarny.

Reforma rolna — to głęboka przemiana w strukturze gospodarczej całej Polski. Reforma rolna — to punkt wyjścia głębokiej przemiany w strukturze kulturalnej Polski.

Reforma rolna — to fundament zasadniczy przemiany politycznej w Polsce.

Reforma rolna — to zerwanie z wielowiekową przeszłością i uwolnienie z więzów tej przeszłości Polski dnia dzisiejszego, nakreślenie dróg Polski dzisiejszej.

Zastanówmy się nad tem wszystkim.

## ZERWANIE Z PRZESZŁOŚCIĄ

Przeszło wiek temu pisał genialny obserwator życia polskiego Maurycy Mochnacki: „Szlachta jest oddychalnym powietrzem Polski”. W tem zdaniu streścił on — bynajmniej zresztą nie w antyszlacheckich zamiarach — tragedję Polski nie tylko XVIII, nie tylko pierwszej połowy XIX w. Do ostatnich lat szlachta czy też, by powiedzieć ściślej, szlacheckość była nie tyle oddychalnym powietrzem, co atmosfery swobodny oddech składnikiem dławiającym polskości.

Niewątpliwie — dawno już, od powstania styczniowego, przestaliśmy być feudalnym szlacheckim krajem. Poszliśmy drogą normalnego, przemysłowego rozwoju. Znikły ze wsi — coppers, obca, zaborcza, carska usunięta ręka — pańszczyzna i poddaństwo. Stał się krajem kapitalistycznym — nawet w ostatnich dziesięcioleciach państwem, gdzie przeważały kartele i koncerny, twory „najnowocześniejszego”, monopolistycznego kapitalizmu.

A jednak — ile jeszcze elementów szlacheckości i szlacheckości, ile z przeżytków i z dziedzictwa feudalizmu tkwiło w rzeczywistości Polski przedwrześniowej, komplikowało jej zagadnienia, ołowianym ciężarem pętało skrzydła narodu!

Weźmy ekonomikę.

Spójrzmy do grubego „Rocznika Spółek Akcyjnych” w Polsce. Popatrzymy na magnatów kartelowych. Kartel cukrowy: Lubomirscy, Potoccy, Chłapowscy. Kartele ciężkiego przemysłu: Potoccy, Radziwiłłowie, obok niemieckich Schaffgotschów, Donnersmarcków, Plesów. Wielkie banki — wylęgarnie karteli: Potoccy, Lubomirscy, Radziwiłłowie.

Ciężkim brzemieniem legło ziemiaństwo na życie gospodarcze kraju. Wąski był rynek wewnętrzny dla przemysłu — bo chłop zepchnięty na drobne skrawki ziemi nie kupował jego wyrobów. Robotnik nie miał pracy, bo chłop nie miał ziemi. A zahamowanie rozwoju przemysłu, bezrobocie w miastach pogłębiało nędzę chłopów, zamykało mu drogę do fabryki, do miasta, w świat.

Spójrzmy na politykę.

Cień Nieświęta pada na cały, posępnej pańszczyzny, sanacyjny okres Polski przedwrześniowej. Subwencje Związku Ziemi nieodstępnie towarzyszyły sanacji — czy to był B. B. W. R., czy Ozon, czy też jego hałaśliwa oenerowska agentura.

Ziemiaństwo było czołową siłą reakcji polskiej. Organizowało wszystkie zagony polskiego faszyzmu. To ono rękami ks. Sapiehy podnosiło wiosną 1919 r. zbrojny bunt przeciw rządowi Rzeczypospolitej. Ono było jedną z głównych sił kijowskiej awantury w 1920 r. — awantury, która kosztowała Polskę Śląsk Opolski i Mazury. To ono chciało wprząc nas — jak Antonescu wprząc Rumunię — w rydwan hitlerowski „Drang nach Osten”. Nie interes Polski, ale interes magnackich latyfundiów pozostawionych na Ukrainie i Białorusi przyświecał tym, co drogą Becka doprowadzili do przepaści września 1939 r.

Spójrzmy na kulturę.

Nawłoc — to nazwa, nazwa - symbol pochodząca od pisarza, który najgłębiej bodaj przeżywał wszystkie wewnętrzne sprzeczności Polski drugiego dziesiątka lat naszego wieku — czy ta nazwa nie stanowi wielkiego określenia roli, jaka przypadła szlacheckości w naszej kulturze? I czy waga specyficzna tej Nawłoci nie była bardzo wielka, o wiele za wielka w kulturze naszej ostatnich dwudziestu lat?

Wystarczy przejrzeć literaturę ostatnich lat dwudziestu — nie tę reprezentacyjną, ale mało czytaną wielkich naszych pisarzy, ale tę płytszą, słabszą, lecz zato idącą w szerokie warstwy czytelnicze, by zdać sobie sprawę z tego, jaką rolę odgrywał kompleks dworu w psychice sporej części naszej inteligencji.

Utkwiła nam w pamięci statystyka pochodzenia studentów naszych uniwersytetów. Rósł stale odsetek ziemiańskich dzieci na uniwersytetach. Przyczyny wiadome (wysokie opłaty, kryzys, utrudniający studia warstwom mniej zamożnym). A rezultaty? Równolegle rosnąca liczba i zasięg burd na uniwersytetach mają swoją wymowę. Nie można powiedzieć, by przewaga elementu ziemiańsko-szlacheckiego w kulturze Polski Odrodzonej miała dla tej kultury pozytywne następstwa.

Dzisiaj reforma rolna z tem kończy.

Reforma pozbawia magnatów kartelowych oparcia o warstwę wpływową i szeroko rozpowszechnioną w kraju. Pozbawia reakcję polską jednego z głównych jej karmicieli i inspiratorów. Pozbawia Ciemnogród kultury protektorów i hegemonów.

## PERSPEKTYWY I MOŻLIWOŚCI

Trzeba sobie zdać z tego sprawę: reforma rolna, zrealizowanie tej reformy na całym terenie Rzeczypospolitej zmienia oblicze naszego kraju. Stają przed nami nowe perspektywy i nowe możliwości.

Gospodarczo:

Rodzi się nowy, szeroki rynek zbytu dla wyrobów przemysłowych. Chłop, który rozszerzył swe władanie ziemią, fernal, który po raz pierwszy dostał na własność warsztat pracy — będzie odbiorcą wyrobów przemysłowych w stopniu o wiele wyższym, niżby to wynikało z samego tylko liczbowego stosunku zmian w posiadaniu ziemi. Będzie gospodarował intensywniej, będzie konsumował więcej. Tysiąc hektarów, podzielone na pięć hektarowe działki, będzie zużywało — na hektar powierzchni! — znacznie więcej nawozów sztucznych, sprzętu rolniczego, wielokrotnie więcej manufaktury, mydła, cukru. Odrodzona wieś będzie doniosłą częścią rozszerzonego, pojemnego runku wewnętrznego, którego brak stanowił zawsze jedną z bolączek naszego przemysłu. Reforma rolna stanie się jedną z podstaw nowego rozwoju przemysłowego Polski.

Kulturalnie:

Do życia kulturalnego kraju wchodzi nowa, wielomiljonowa warstwa narodu. Człowiek głodny, człowiek rozłupujący na czworo zapalkę, człowiek siedzący w zimowe wieczory w nieoświetlonej (bo szkoda nafty) izbie — jest słabym konsumentem kultury, a jeszcze słabszym jej twórcą. Choćby chciał kupować gazety i książki — nie stać go na to. Choćby chciał sam brać udział w twórczości kulturalnej — przychodzi mu to z trudnością, bo przytacza go brzemień codziennych trosk. Reforma rolna stwarza możliwość przecięcia tego stanu rzeczy. Wiadomo ze statystyki, że odsetek wydatków przeznaczonych na cele kulturalne rośnie szybko — jeśli idzie o budżety świata pracy — przy zwiększaniu się ogólnej sumy dochodu. To samo nastąpi i teraz. Wieś, której materialny stan posiadania uległ zasadniczej poprawie, stanie się pojemnym konsumentem dóbr kulturalnych. Dwieście gospodarstw chłopskich, nowoutworzonych dzięki reformie, kupi pięćdziesiąt, sto

razy tyle książek polskich, co jeden dwór, który dotąd władał tysiącami hektarów.

Trudno określić, na ile ta przemiana społeczna zwiększy zasięg kultury narodowej, przyczyni się do wyzwolenia nowych sił twórczych w narodzie. Ale doświadczenie wszystkich podobnych reform, przeprowadzonych gdzieindziej, pozwala nam twierdzić, że stanie się to w dużej, jak na nasze stosunki nawet ogromnej skali.

## TRUDNOŚCI, PROBLEMY, ZADANIA

Niema róż bez cierni. Niema wielkich reform bez tarć, trudności, komplikacji. Są one nieuniknione, wystąpią one najaw i przy naszej reformie rolnej. Temi trudnościami osłaniają się dla celów walki z reformą obrońcy obszarowego przywileju, temi trudnościami dają się nieraz zastraszyć i ludzie dobrej woli, ulegający reakcyjnym podszeptom. Krótkie, aż nadto krótkie są terminy wyznaczone przez dekret o reformie. W ciągu niespełna czterech miesięcy zakończona być ma akcja zmieniająca oblicze całej objętej dekretem polaci kraju, decydująca o losach milionów ludzi. Przeprowadzając reformę jedynie na terytorjum wyzwolonem, terytorjum, na którym nie starczy dość ziemi na oddzielenie 5-oma hektarami wszystkich uprawnionych — stwarzamy prowizorium, które później i tak będzie musiało być zmienione. Czy nie lepiej odłożyć wykonanie reformy do czasu, gdy będzie ją można przeprowadzić w całości, gdy będzie już można realizować w spokoju, z maksymalnym uwzględnieniem wszystkich wchodzących w grę czynników?

Ci, co tak mówią, nie mają racji nawet z ściśle gospodarczego punktu widzenia. Bo przecież jest oczywiste, że na terenie większej własności ziemskiej od chwili zapowiedzi reformy rolnej zapanowałaby kompletna gospodarka rabunkowa. Kto będzie inwestował w majątek, który i tak będzie wywłaszczony? Odkładając reformę, ryzykowalibyśmy, że za rok lub dwa otrzymalibyśmy gospodarstwa całkowicie zdewastowane nie tylko przez wojnę, ale i przez dotychczasowych właścicieli. Ale to wcale nie jest decydujące. Decydujący jest взгляд społeczny. Na barki wsi polskiej w tej wojnie spadły bodaj największe ciężary. Na nią spadły niemieckie kontyngenty. Na nią — wysiedlenia w Zamojszczyźnie, w Żywieckiem, w województwach zachodnich. Ona to żywiła partyzantów — żołnierzy Polski Podziemnej, ona spływała krwią w ich walkach, ona dziś przedewszystkiem daje żołnierza i chleb dla armji idącej na pomoc Warszawie.

Na dwa lata przed wojną pisał prof. Krzywicki, jeden z nestorów polskiej nauki ekonomicznej: „Nie rozważamy nawet, która forma władania, drobnowłasciańska czy folwarczna, jest wydajniejsza. Nam zależy na parcelacji jako na udostępnieniu warsztatu tym, którzy dzisiaj nie dojadają, a nie dojadając wyrodnijają fizycznie. Chodzi nam o niemarnowanie największego bogactwa każdego kraju, jakim jest zdrowy, energiczny, a za sprawą energii fizycznej zdolny do trwałego zapалу ideowego obywatel”.

To było pisane w r. 1937. Ile słuszniejsze, ile aktualniejsze są te słowa dzisiaj.

Brzmia one jak odpowiedź i dla tych, co próbują ograniczać reformę, powołując się na mniejszą towarowość gospodarki chłopskiej, na niebezpieczeństwo braku żywności dla miast, dla osiedli przemysłowych.

Dalecy jesteśmy od lekceważenia tej strony zagadnienia. Niewątpliwie — reforma rolna przyniesie duże przesunięcia w strukturze wyżywienia Polski. Będziemy mieli więcej mięsa, mleka, masła, jaj, ale możemy mieć mniej zboża. Chłop hoduje na tej samej powierzchni więcej krów, świń, kur, gęsi, niż hodował obszar, ale 200 gospodarstw chłopskich po 5 ha nie rzuci na rynek tyle zboża, co tysiąc hektarowy folwark. Chłop zje sam znaczną część zboża. I to nie jest źle. To dobrze. O to chodzi, by po tylu wiekach małopolski, bezrolny najadł się do syta. Ten argument przeciwników reformy rolnej nie jest argumentem przeciw reformie. Jest argumentem za reformą.

Bo przecież ten argument wyraża tylko prosty fakt, że dotychczasowa obfitość zboża w Polsce była wynikiem systematycznego niedojadania mas biedoty wiejskiej. Od Bożego Narodzenia — kartofle, od Wielkanocy — pokrzywa, takie było nawet przed wojną menu aż nazbyt wielu rodzin małopolskich i bezrolnych. Czy na niem można opierać normalne, regularne wyżywienie kraju?

Nie, droga słuszna jest inna. Reforma rolna to nie koniec. Reforma rolna to początek. Po reformie rolnej musi przyjść szeroka akcja podniesienia poziomu produkcji rolniczej. Mielimy już przed wojną Kółka Rolnicze, Przemysłobienie Rolnicze, przodowników wiejskich, spółdzielczość na wsi. Wszystko to było słabe,

dychawiczne, niedożywione — jak dzieci małopolskich. Teraz czas na rozkwit tych wszystkich form oświaty i postępu rolniczego. Gospodaruj wydajnie na swoim gospodarstwie! Oto nakaz społeczeństwa, nakaz Polski dla nowonadzielonych przez reformę. Chłop polski chętnie usłucha tego nakazu. Chłop polski nie zawiedzie kraju. Trzeba mu tylko pomóc.

Jeżeli podniesiemy urodzaje do poziomu średnich urodzajów w Czechosłowacji, będziemy mieli aż nadto zboża na własne nasze potrzeby. Jeśli podniesiemy je do poziomu urodzajów Prus Wschodnich i Pomorza Zachodniego — będziemy mieli nadwyżki zboża, o jakich marzyły nie mogła przedwrześniowa Polska.

Kto może twierdzić, że chłop polski w oparciu o ludowe, demokratyczne państwo nie potrafi gospodarować tak dobrze, jak junkier pruski?

## UPIÓR Z BONCZY PRZEŚTANIE STRASZYĆ

Jest w Lubelskiem u zetknięcia powiatów zamojskiego i krasnostawskiego Bończa Wielka — majątek Potockich. Ten majątek to jak Majdanek — osobliwość Polski 1944 r., składowa część hitlerowskiego spadku.

Wznoszą się w Bończy ku niebu wysokie kominy gorzelni. Cały niemal rok dymyły za Niemców. Fałg szedł „bimber” na powiaty. „Bimber” nie tylko za gotówkę. Bimber za dusze, za honor, za ludzkie sumienie. „Bimbrem” pan Potocki kupował ludzi dla „specjalnych oddziałów”, których sztab urzędował we dworze.

Są we dworze piwnice. Głębokie i solidne. Do tych piwnic sprowadzali nadworni hajducy p. Potockiego — „specjalne oddziały” — swych jeńców. Nie myśleć, że Niemców. Niemcy byli dobrze widziani we dworze. Jeńcami byli Polacy, Pepeerowcy, bechowcy, chłopci, którzy nie chcieli iść pod pana Potockiego komendę. Tam, w piwnicy torturowano ich, bito, łamano kości — według starej sławkowej recepty. Potem — kula w łeb. Ludność okoliczna opowiada fakty, szczegóły, cytuje nazwiska.

Skończył się koszmar Bończy razem z koszmarem Majdanek. W pierwszych dniach po przepędzeniu okupanta p. Potocki chciał zrobić jakieś koncentracje. Nie udało się. Chłopi z okolic Bończy kwiatami, chlebem i solą przyjęli polskich ufanów. P. Potocki uciekł do lasu.

Bończa nie jest jedna. Czytaliśmy dokumenty o mordach bratobójczych NSZ w Kieleckiem. Kto nasyłał NSZ-owców na chłopskie chaty? Dziedzic, dziedziczka, panicz z folwarku. Kto dawał schronienie mordercom? Dwór.

Trzeba to zrozumieć: w walkach bratobójczych, zapalających się — czy ściślej zapalanych — to tu to tam, spotykamy wszędzie rękę dworu, rękę ziemiaństwa. Ziemiaństwo czuje, że po tej wojnie grozi to, czego udało mu się szczęśliwie dla niego, a nieszczęśliwie dla Polski uniknąć w latach 1918—1920: przejście władzy do narodu, przejście ziemi do chłopów. Stąd stawka na „zamordystów”, łamaczy kości, na Sosnkowskiego czy Raczkiewicza. Stawka przegrana dziś niemiłosiernie w obliczu rzeczywistości polskiej i międzynarodowej. Dekret o reformie rolnej wyjaśnia sprawę. Wyjaśnia każdemu, o co chodzi podżegaczom do wojny domowej: o latyfundijską Zamojskich, o folwarki Potockich. Wyjaśnia treść „specjalnych oddziałów” pod komendą „Dowództwa A. K.” — „szlacheckiego” wojska — jak je nazywają B. Ch.-owcy z Puławskiego. A wyjaśniając — unieszkodliwia, rozładuje atmosferę. Bo któż powie, że trzeba, aby w bratobójczych walkach łała się polska krew, byle zachować magnackie fortuny Potockich?

Kto ośmieli się stanąć z bronią w rękę na drodze wielomiljonowej rzeszy chłopskiej, sięgającej po ziemię?

Dekret o reformie rolnej posiada jeszcze pod jednym względem doniosłe znaczenie. Siłą reakcji w Polsce było skłócenie demokracji, skłócenie elementów ludowych, czynników postępu w Polsce. Pamiętamy, jak sanacyjny agentury szczyły chłopów na robotnika, robotnika na chłopów, a pracownika umysłowego — na obu. Teraz i temu dekret kładzie kres.

Ziemię obszarniczą na własność dostaje chłop polski od rządu, w którym obok jego chłopskich przedstawicieli zasiadają na czołowych miejscach reprezentanci robotników i pracowników umysłowych. Osiągnięcie wielowiekowego celu chłopskiej walki jest dziełem zjednoczenia narodowego, w którym czołową, decydującą rolę odgrywa blok świata pracy, blok robotników, chłopów, pracowników umysłowych, blok polskiej niepodległościowej demokracji, zjednoczonej w walce o wyzwolenie kraju od niemieckiego najazdu, o odrodzenie Ojczyzny.

Nie zapomni tego chłop polski. Dotrzyma wiary dzisiejszym swym sojusznikom i jutro — w dni odbudowy.



IGNACY NARBUTT

# Z dziejów walki wyzwoleniczej w Kraju

Ogłaszamy wspomnienia jednego z organizatorów walki wyzwoleniczej narodu polskiego i jednego ze sławnych dowódców Polski Podziemnej, komendanta legendarnego Oddziału Partyzantów Ziemi Kieleckiej, obecnie pułkownika Wojska Polskiego — Ignacego Narbutta. W narodzie znana jest postać Narbutta, albo — jak nazywał się na Lubelszczyźnie — Krystjana.

Wspomnienia te stanowią zaledwie ułamek tej wielkiej epopei, jaką była i jest wojna narodu polskiego z Niemcami, rozpoczęta we wrześniu 1939 roku.

W trudnych warunkach konspiracji, pod straszliwym terrorem niemieckim jeden człowiek nie mógł objąć wspomnieniami całości organizacyjnego życia podziemnego. Pułkownik Narbutt opisuje tylko to, co widział sam, lub z czym się sam zetknął. Inni organizatorzy, oficerowie i żołnierze tej wielkiej walki narodu o wolność uzupełniają te wspomnienia. Gdy część ziemi polskiej jest już wolna, za Wisłą walka trwa jeszcze i tam wciąż jeszcze piszą się czynem i krwią dalsze karty tej epopei.

Na całość dziejów Polski Podziemnej złożą się wspomnienia nie jednego jej dowódcy i żołnierza, ale wspomnienia tych wszystkich, którzy bezustannie prowadzili naród do walki. Ze wspomnień żołnierzy i oficerów Armii Ludowej, Batalionów Chłopskich i walczącej części Armii Krajowej zostanie odtworzona historia walki z niemieckim zaborcą — najnowsze, heroiczne dzieje Polski.

Pod względem wojskowym Gwardja Ludowa i Armia Ludowa były zjawiskiem niezwykłym. Organizacje te były prześladowane przez hitlerowski okupant i rodzimą reakcję. Pomimo tego i pomimo szczupłych środków technicznych w porównaniu chociażby z A.K.—Gwardja Ludowa i Armia Ludowa zdolały porwać naród do boju, prowadząc nieustającą walkę z niemieckimi najeźdźcami.

## PREKURSORY

Partyzantka polska wywodzi się ze zgiełku bitewnego września 1939 r. Już po krótko poszczególni żołnierze, żołnierze, których cennością przywiązano do ojczyzny i determinacją osobistą, stawali do walki, nie mogąc pogodzić się z losem pokonanych.

Jeoną z najpiękniejszych postaci i pierwszym partyzantem w Polsce był major 22-go pułku ułanów — Kubala. W składzie jednego batalionu piechoty i szwadronu kawalerii operował on od połowy 1940 roku w lasach kieleckich. Kieleccyzna dzięki swoim naturalnym warunkom — bardzo silne zalesienie, a więc puszcza Świętokrzyska i wokół puszczy ciągnący się kompleks lasów — stwarzała naturalne warunki dla działań partyzanckich. W walce wyzwoleniczej narodu Kieleccyzna zawsze odgrywała dzięki tym naturalnym warunkom swoistą rolę. W Puszczy Jodłowej w Powstaniu Stycznym operował Langiewicz i tu właśnie za Stopnicą carska armia przecięciem łączności oddziału Langiewicza, dążącego do połączenia się z oddziałami Hauke-Bossaka, rozstrzygnęła walkę na swoją korzyść. Jeszcze dziś w Puszczy Jodłowej, aż hen pod Mniów z jednej strony, a po Stopnicę z drugiej, znajdują się nagrobki powstańców, owych bohaterów przodków „chłopców z lasu” Kieleccyzny.

Na wiosnę 1940 roku, w wyniku silnej akcji pacyfikacyjnej okupanta, prowadzonej w składzie jednej dywizji piechoty i dywizji pancernych, oddział Kubali został rozproszony. Wrogowi udało się wyprzeć majora Kubalę z lasów Świętokrzyskich i Siewierskich. Rozpoczęły się wtedy pierwsze w Polsce represje przeciw chłopom sprzyjającym partyzantom. Została spalona wieś Krasna. Sam Kubala wymknął się wrogowi, przebijając się w kierunku lasów Radomskich, gdzie pod Szydłowcem został przez wroga osaczony. Szwadron Kubali, ten pierwszy oddział kawalerii partyzanckiej, uległ już przedtem rozproszeniu w lasach Osieczyńskich. Major Kubala zginął w tajemniczych okolicznościach po rozmowie z przedstawicielami „czynników miarodajnych”, którzy powołując się na autorytet wodza naczelnego, kategorycznie nakazywali złożenie broni. Ow legendarny major „z bródką”, jak go nazywali chłopcy, nie chciał się zgodzić na zaprzestanie walk partyzanckich i „Kubalowcy” mają określony pogląd na przyczyny jego śmierci.

Nauka płynąca z historii walk partyzanckich majora Kubali jest następująca:

a) *Ocena wroga:* silna koncentracja wojsk nieprzyjaciela w kraju, z którego szedł na rozprzestrzenienie walk partyzanckich i siłą faktu, walki ograniczały się do tych terenów, które miały warunki topograficzne sprzyjające jak Kieleccyzna.

b) *Politycznie:* i. historia majora Kubali wskazywała, że już wtedy zarysowała się w łonie ówczesnego kierownictwa krajowego or-

jentacja kunktatorska, niechęć do prowadzenia walki zbrojnej, przeciwstawianie się z całą surowością tym wszystkim elementom, które parły do walki z okupantem. 2. Nie było jeszcze w kraju organizacji, prowadzącej do bezkompromisowej walki z okupantem. Organizacja taka — Gwardja Ludowa — powstała w roku 1942.

c) *Taktycznie:* major Kubala nie rozdrabniał swego oddziału do zadawania szybkich i zwinnych uderzeń w szeregu punktów naraz, ale oddziały swe stale trzymał w całości i dlatego wrog mógł je łatwo osaczyć.

Ale nawet po likwidacji majora Kubali, walka zbrojna w Kieleccyznie nie ustała. Forma jej stała się odmienna i tutaj znaleźliśmy pierwsze w Polsce historie w stylu Rinaldo-Rinaldini. Pewni pomyslowi partyzanci rozpoczęli w Polsce taktykę „skoków” np. kpt. Franek Sobierajski, który operował tylko wyjątkowo we dwójkę ze swoim ordynansem, konfiskując pieniądze w leśnictwach niemieckich i mniejszych urzędach. Pojawiał się też tu Władysław Jasiński, adwokat z Kielc i ppor. rezerwy, popularny „Jędrzek”, partyzant o dużym temperamencie do „skoków”, człowiek o senatorskich ambicjach, nie uznający nad sobą żadnej władzy, kokietujący naprzemian to jednych to drugich.

## ORGANIZACJE

Historja narodowych walk wyzwoleniczych ma swoje paradoksy. „Jędrzek”, adwokat, nie mający przed wojną prawie że nic wspólnego z wojskiem, staje się dowódcą oddziału, a oficer zawodowy, major „Szary” staje się redaktorem pierwszej w Polsce gazety partyzanckiej ziejającej nienawiścią do wroga i nazywającej się „Odwet”. Chciałbym zaznaczyć, że ponieważ tylko część naszego kraju została narazie wyzwolona, nie mogę podać prawdziwych nazwisk występujących tu bojowców ze względu na możliwość dekonspiracji ich, lub ich rodzin za Wisłą. Będę ich nazywał bojowcami przydomkami.

Pod koniec 1939 r. i na początku 1940 r. na terenie gen. gubernji, nazywanej przez okupanta „Gangstergau”, rozpoczęła się działalność szeregu organizacji niepodległościowych. Organizacje te o zmienionych nazwach opierały się dalej jednak na tradycyjnych organizacjach politycznych w Polsce od lewicy aż do prawego skrzydła.

Pierwszą organizacją wojskową w Polsce był „Kop”, Korpus Obróńców Polskich. Organizacja ta rekrutowała się z młodzieży inteligentnej, młodszych oficerów i podoficerów. Niewątpliwie u podstaw działalności tej organizacji leżała szeroko zakrojona praca dywersyjna Związku Muszkieterów. W 1939 r. po ucieczce rządu Rydza jednym z pierwszych zarządzeń do kraju powstałego na emigracji rządu było wezwanie do zmagazynowania broni. Musimy stwierdzić, że naród polski nigdy nie chciał broni złożyć i domagał się walki. Stąd każda organizacja bojowa znajdowała szerokie poparcie w społeczeństwie.

Dziwna to historia, gdy dziewczęta wypełniając polecenia „Kop-u” umawiały się z żołnierzami i oficerami Wehrmachtu i zabierały ze sobą w próbówkach wszy zakazane tyfussem; wszy owe wędrowały za kolarzami ich „gachów”. Była to jedyna i pomyslna na wysoką skalę robota dywersyjna „Kop-u”, organizacja, która nie mając szerokiej i dla organizacji wojskowej potrzebnej bazy społecznej, zamieniła się potem w małą, nie przejawiającą prawie żadnej działalności bojowej organizację. Dziewczęta zaszczerpiające niemieckim okupantom tyfus, to były pierwsze nasze kobiety — bojowniczki.

Wojskowa organizacja Z. W. Z. (Związek Walki Zbrojnej) rekrutująca się z oficerów i podoficerów W. P. i stojąca bez zastrzeżeń na gruncie dyrektyw rządu w Londynie, zamiast potęgować walkę zbrojną, paraliżowała ją, jak to ocenił dowódca naczelny, gen. Rola-Zymiński w rozmowie z dziennikarzami zagranicznymi, zwęzła ją do budowy sztabów i dywizji, które, poza ewidencyjnym sztabem na papierze, nie miały odpowiednika faktycznego w terenie.

Rok 1941 i dzień tego roku najbardziej emocjonujący badaczy współczesnej wojny, dzień 22 czerwca, uwołał z ziem Rzeczypospolitej olbrzymią ilość sił wroga, które wciągnęły się w trudną i ciężką dla siebie walkę na wschodzie. Rok później z siedmiu organizacji wiodących żywot od 1939 r. powstaje Gwardja Ludowa. Powstanie Gwardji Ludowej wiąże się z nieustanną propagandą walki zbrojnej w ujarzmionym narodzie, rzucaniem wszystkich sił tej organizacji do czynnej walki z okupantem. Muszą przysnąć to wszyscy, poza zaciekłymi reakcjoniastami, którzy — mając do wyboru zwycięstwo ZSRR i aliantów lub Rzeszy — byli obiektywnie sympatjami po stronie okupanta. Przecież jeszcze w 1940 r. jeden z przywódców ONR, Bolesław Piasecki, był przyjęty przez przedstawicieli generalnego gubernatora, osławionego doktora Franka, i trudno nie zrozumieć sytuacji Piaseckie-

go, któremu zaproponowano stworzenie quinquiesimowego rządu w Polsce i który na to odpowiedział: „bez przyłączenia do generalnej gubernji Zagłębia Łąbrowskiego i Pomorza, jakkolwiek mowa o rządzie wyda się nawet dla moich zwolenników zdradą narodową”. Rzecz pewna, że walkę zbrojną narodu polskiego trzeba wiązać z sytuacją faktyczną, jaką wrog wytworzył na ziemiach narodu, który od wieków był zaporą w jego ekspansji na wschód i według koncepcji Altredda Rosenberga skazywał na wyniszczenie i rozczłonkowanie. Jeśli przedstawiciele generalnego gubernatora musieli rozejść się z najbliższym ideologicznie im człowiekiem, jakim był w Polsce Bolesław Piasecki, to trzeba stwierdzić, że w pewnych warunkach naszego narodu czaiła się, tak jak we wrześniu 1939 r., tragedia pogardzonego i złamanego przez Hitlera serca, które jeśli całkowicie nie było hitlerowskie, to w każdym razie biło w podobnym rytmie jak serce Horthy'ego.

Historik naszej epoki niewątpliwie ze zdziwieniem będzie opisywał fakt pierwszego czynu Gwardji Ludowej, organizacji, wychowanej w walce z transportem wroga, z jego urzędzeniami administracyjno-gospodarczymi, z żywą jego siłą. Latem 1942 r., tuż pod Warszawą, w Grójeckim, siedmiu ludzi, z których jeden miał pistolet kalibru 7,65 i dwóch dubeltówką, a reszta — nadzieję na zdobycie broni, dokonało pierwszego aktu sabotażowego i ścięło aż dwa słupy telegraficzne. Wydaje mi się, że „Franek”, ówczesny szef sztabu naszej organizacji bojowej, dzisiejszy generał Witold, człowiek umiający pracować nieustannie, wiele miał racji, gdy ów czyn entuzjastycznie podniósł na spotkaniach z bojowcami, oceniając go przysłowiem warszawskim powiedzeniem: „już się zaczęło”.

Typ dowódcy Gwardji Ludowej był zgoła inny od dowódców pozostałych organizacji wojskowych. Wyrósł w walce i w walce nabrał hartu. Jedni, to robotnicy i chłopcy, często nawet ludzie nie mający prymitywnego wykształcenia wojskowego, drudzy, to młodzi oficerowie zbuntowani przeciwko naszej epoce przedwrzesniowej, a wśród nich żołnierze, których przekonania zapędziły niegdyś na półwysep Iberyjski i którzy dziwnymi drogami przywędrowali do szeregów walczących wprost z francuskich obozów koncentracyjnych Pétaina, wnosząc w nasze szeregi ów niestygający w dziejach polskich żar: „za waszą i naszą wolność”.

Przypominam sobie „Wilka”. Podoficer z wojska, chłop małorolny, duży, wciąż ruszający czarnymi wąsami, spokojny w walce, bardzo niecierpliwy w towarzyskim obcowaniu. Dziwaczny był dowódca, dziwaczny — jego oddział. Oparty na szerokim współzwiązku koleżeńskim, gdzie zupełnie nie można było wyczuć różnicy między dowódcą a podkomendnym, oddział przypominał swą strukturą znane w historii buntów chłopskich oddziały powstańcze. W roku 1942 rola Kieleccyzny, a wciąż trzeba pamiętać o ważkości strategicznej tej pości kraju (ważność pewnego kompleksu wyżyn i lasów, z którego operacyjnie jest wyjście na nizinę Sandomierską i Kadomską) była ogromna. Jeżeli na Kieleccyznie narodowa walka wyzwolenicza nie stygła od 1939 roku, to w roku 1942 Lubelskie przechodziło po dłuższej przerwie swój chrzest bojowy. Tu dowodzili ostatnio oddziałami partyzanckimi pułkownicy „Mietek” (Moczar), „Grzegorz” (Korczyński), tu były się oddziały sformowane z jeńców radzieckich, ludzi, którzy uciekli z obozów, gdzie czaił się tyfus i rozpylac SS-manów.

Rola jeńców radzieckich w początkowych walkach na Lubelszczyźnie była bardzo ważna. Wraz z rozpoczynającym tu swój chrzest bojowy oddziałem im. T. Kościuszki walczył oddział sformowany z jeńców radzieckich im. Szczośca.

## POMOC CHŁOPA

W tym to czasie, na Kieleccyznie powstał legendarny w Polsce oddział, Oddział Partyzantów Ziemi Kieleckiej, przezwany przez lud „chłopcami z lasu”; nazwa tego oddziału i określenie partyzantów „chłopakami z lasu” przenika szeroko w kraj i wbrew epitetom „Biuletynu Informacyjnego”, który żołnierzy walczących o wolność Ojczyzny obzurał stekiem obelg, naród kochał swoich żołnierzy, wspomagał ich w walce i chronił ich przed wywiadem wroga.

Przypominam sobie tego rodzaju scenę. W jesieni roku 1943 część oddziałów partyzanckich zaatakowała drugą największą kopalnię parytu w Europie, w Rudce, w górach Świętokrzyskich. Jeżeli w taktyce walki pewien moment zaskoczenia jest momentem zasadniczym, to brawura staje się raczej sprawą szczęścia, niż roztropności operacyjnej. Proszę, przykład. Wrog osłaniał kopalnię parytu bronią maszynową, silną załogą żandarmerji

i straży fabrycznej t. zw. Werkschutzów. Pluton chłopaków atakuje zniemacka kopalnię; unieruchamia ją i ucieka w góry. Pierwszy śnieg, lepki, przejmujący do szpiku kości. Rozpoczyna się nieustanny pościg za oddziałem i wreszcie po 2-tygodniowym pościgu wrog osacza ów mały oddziałek w Sielpi, w lasach Koneckich. Biją się ci chłopcy bez broni maszynowej, z lichymi karabinami i słabym wyposażeniem w amunicję przeciw 40-krotnej przewadze uzbrojonego po zęby w broń maszynową nieprzyjaciela. Po wyrwaniu się z pierścienia wroga natrafiają nasi na chłopca, który słysząc odgłosy walki wykopał spod stodoły dwa zaczepne granaty, przynosi je i powiada: „Ha, ja jeszcze od Kubalowców, macie chłopcy, a bicie się dobrze!”

Pamiętam inną scenę, tym razem na równinie Mazowieckiej, gdy jeden pluton otoczony przez dwa i pół tysiąca Niemców uzbrojonych w broń maszynową i artylerię przeciwpancerną bił się w ciągu całego dnia w przereźdżonym lesie nad rzeką Rawką i wyrwawszy się z potrójnego pierścienia toczył parogodzinną walkę w terenie odkrytym. Okoliczni chłopcy podpełzając do pozycji przynosili mleko i owoce.

## AKCJE W MIASTACH

W terroryzowanych miastach Polski walka zbrojna wydawała się rzeczą niemożliwą. Hitlerowska zasada zbiorowej odpowiedzialności uniemożliwiała — zdawało się — wszelką akcję bojową. Stosując represje za wykołajenie we wrześniu 1942 r. szeregu pociągów, Niemcy powiesili w Warszawie 50 aktywistów robotniczych. Plakat gubernatora Fischera nazywał ich komunistami. Wówczas kierownictwo nasze postanowiło zaostriżyć metody walki, uważając słusznie, że tylko wzmocnienie walki powstrzyma terror okupanta. W naszym magazynie centralnym był skromny zapas 14 granatów i owe 14 granatów poszły w ruch. Warszawa, „serce buntu Polski”, według — zresztą bardzo pięknego — określenia goebbelsowskiego, w 1942 r. na terror wroga, na szubienice, odpowiedziała granatem. Rok ten czynem świadczy, że minęły czasy Wawra, gdzie za jednego Niemca, który zginął w burdzie, powieszono 100 Polaków. Na straszliwą zasadę hitlerowskiej odpowiedzialności zbiorowej, Gwardja Ludowa odpowiedziała granatami. Rzucano granaty do restauracji dla Niemców, na dworcu głównym w Warszawie, do Café-Clubu, miejsca spotkań elity hitlerowskiej, rzucano granaty do kawiarni Wehrmachtu w Kielcach, do restauracji niemieckich w Krakowie, rzucano granaty do kina niemieckiego w Radomiu. Jeżeli „roboty” torowa, jeżeli sabotaż w transporcie niemieckim, wykołajanie i wysadzanie pociągów, stały się już rzeczą codzienną na terenie generalnego gubernatorstwa, jeżeli w fabrykach pracujących dla przemysłu wojennego pojawiał się ów symbol nieustającego sabotażu — plakat z żołnierzem, to granaty w ręku bojowca świadczyły, że naród ma już dość w miastach bierności, że młodzieży polskiej wywożonej do Rzeszy nie można trzymać z bronią u nogi w iluzorycznej nadziei na przejście rozkazu z góry. A wrog po raz pierwszy zadźrął i cofnął się w akcji terroru. Stał się jakgdyby zdziwiony przed tem zjawiskiem bojowym, jakim była Gwardja Ludowa.

W Końskich młodzież Z. W. Z. i Gwardji Ludowej wspólnym wysiłkiem dokonała śmiałego ataku na więzienie i uwolniła więźniów politycznych. Dla psychologa ważna jest obserwacja pewnych etapów walki. Jeżeli w pierwszym okresie naród się boi i strach jest nieodłącznym towarzyszem postępowania, to w drugim okresie zaczyna się ów strach równoważyć, w tym sensie, że strach staje się i towarzyszem okupanta. Czyż owi lotnicy niemieccy po ciężkich walkach z angielskimi „Spitfeyerami” i „Szturmowikami” sowieckimi mogli się spodziewać, że spotka ich śmierć w sanatorium dla lotników na Czarneckiej Górze w bujnej i dzikiej Kieleccyznie, gdzie dosięgły ich granaty bojowca?

Ruch bojowy w Polsce miał trzy zasadnicze nurty: a) oddziały leśne, polowe. Oddziały te znajdowały się stale w polu. Z temi oddziałami związana jest legenda i wciąż jeszcze żywa za Wisłą walka partyzancka; b) specjalnie wyszkolone miejskie oddziały dywersyjne. Zrozumiałe, że oddziały te były specjalnie szkolone do ciężkiej i zupełnie swoistej taktyki walk ulicznych. Obok nich były oddziały sabotażowe, działające w walce z transportem i przemysłem zbrojeniowym wroga; c) oddziały uderzeniowe, rekrutujące się z garnizonów organizacji bojowych miejskich i wiejskich. Żołnierze tych oddziałów to napozór zwykli, spokojni obywatele G. G. Jeżeli do tego dodamy precyzyjną pracę wywiadu, służbę pomocniczą, jak służba sanitarna, intendencka i t. d. — to otrzymamy ciekawy obraz, że w tym straszliwym reżymie o niesłychanie pomysłówym i nieustającym terrorze, naród polski pod okupacją obok nielegalnych uniwersyte-





Pułk. IGNACY NARBUTT

rys. J. Krajewski

tów, szkół średnich, nielegalnej prasy, stworzył — już w okresie nielegalnym — zręby polskiej siły zbrojnej.

Historia bohaterkich walk Warszawy wiąże się z historią specjalnego oddziału dywersyjno-miejskiego Gwardji Ludowej. Z ramienia dowództwa „obsługiwał” go „Mirek” — inż. pułk. Marjan Spychalski. Jeżeli paradoks historyczny na pewnym etapie stawał w Stopniemickim nad starymi frontowymi wiarusami podporucznika rezerwy i byłego adwokata „Jędrka”, to ową grupą warszawską wstawioną w walce dowodził artysta — malarz Franciszek Bartoszek, późniejszy podpułkownik „Jacek”, oficer o dużej odwadze osobistej. O jego brawurze może świadczyć następujący wypadek: parokrotnie grupa bojowa starała się wysadzić tor kolejowy pod tunelem warszawskim. Nie udało się. Zbyt silna była obstawa Bahnschutzów. Podpułkownik Jacek sam jeden jesienią nocą podpełził pod tor i tuż pod okiem Bahnschutzów zalał ładunek trotylu. Grupa ta składała się z ludzi oddanych całkowicie sprawie umęczonego narodu. Jeżeli przypomnieć sobie bojowników tej grupy — „Romana”, nauczyciela z zawodu, „Wiktora” oficera pierwszego pułku szwoleżerów, 15-stoletniego „Cenka”, syna robotniczego Rakowca i piękną postać Wandy — bojowniczkę bez skazy, postać malarza — intelektualisty Zygmunta Bobowskiego, jeżeli dodamy do tego dziesiątki najlepszej młodzieży warszawskiej, godnych kontyngentów specjalnej grupy dywersyjnej Gwardji Ludowej, oficerów, podoficerów, szeregowych kompani Czwartaków Armji Ludowej, walczących w tej chwili pod dowództwem majora „Ryszarda” ze swymi młodocianymi a doświadczonymi w bojach oficerami „Konradem”, „Gustawem” i innymi na barykadach Warszawy, — to zrozumiemy, że czyn zbrojny najlepszej młodzieży warszawskiej, czyn zbrojny narodu narodził się z walki tych, którzy przeciwstawiali się wówczas bierności wobec okupanta. Jak pierwszy oddział leśny, wyruszający w pole pod dowództwem byłego studenta politechniki warszawskiej Franka Małego w maju 1942 roku stał się pewnym słupem granicznym w epoce walk dywersyjnych w Warszawie pogłębiły walki z okupantem w miastach polskich.

To, co do tej pory wydawało się niemożliwe, nabrało realnych kształtów. Historia narodowych walk wyzwolenia z okresu caratu wspomina z dumą o ekspropracji pod Rogowem. W walce z Niemcami Rogów — to historia prawie każdego miasta w GG.

## E K S Y

Historia nie może zaprzeczyć wbrew kalumnjom rzucanym na najlepszych bojowników narodu, że pierwsze walki w Polsce to właśnie działalność bojowa Gwardji Ludowej. Ekspropracje, mające tak silną tradycję bojową w kraju, rozpoczęła właśnie Gwardja Ludowa sławnym najsicem na bank K. K. O. w Warszawie, gdzie w 1942 r. zabrano kontrybucję, którą okupant nałożył na ludność stolicy, a potem kolejno: K. K. O. w Kielcach i Skarżysku, mniejsze banki w całej Polsce. Ekspropracje musieli robić ci, których nasi reakcyjniści z „Szańca” i „Biuletynu Informacyjnego” nazywali płatnymi agentami Moskwy, a którzy w przeciwieństwie do Z. W. Z. nie otrzymywali 90 milionów złotych w starej dobrej walucie polskiej przechowywanej na walutę GG. Nasi bojownicy pieniądze na cele organizacyjne musieli zdobywać własnymi rękoma. Jeżeli po raz pierwszy pokwitowanie w K. K. O. w Warszawie miliona złotych zaczynało się od słowa: „Na cele walk z okupantem konfiskuje się złoty”, to formuła ta stała się formułą uświęconą w tradycji ekspropracji, formułą, którą przyjęła A. V

W K. K. O. w Kielcach „robiło” pięciu chłopaków, którymi dowodził plutonowy-podchorąży Lawina. Kielecczanie powtarzali za bezradnymi gestapowcami, że ulica, na której mieściła się K. K. O., była otoczona 100 partyzantami. Pełna werwy grupa ekspropracyjna zostawiła pokwitowanie: „Gdy pieniędzy jest mało, przychodzimy do K. K. O”, a potem owo uświęcone: „Na cele walki z okupantem”. W Skarżysku, gdzie K. K. O. mieści się tuż przy posterunku żandarmerji, zoperowało bank siedmiu bojowców: jednemu z nich po opuszczeniu gmachu i zetknięciu się z patrolem żandarmerji wysypało się z teczki parę tysięcy złotych. Był to ten sam młodociany bojowiec warszawski „Cenek”, a późniejszy podoficer Oddziału Partyzantów Ziemi Kieleckiej; chłopiec nie stracił orientacji. Najspokojniej zebrał zgubione pieniądze, a jakiś usłużny żandarm pomógł mu zatrzymać dla siebie 500 złotych.

Rzecz prosta, że ekspropracje te były dokonane za dnia w okresie największego ruchu ulicznego.

W sierpniu 1943 r. o godzinie 11-ej rano grupa bojowników A. L. pod dowództwem podporucznika „Wołodyjowskiego” zatrzymała przed dworcem kolejowym w zniemczonym Żyrardowie dorożkę dawnych Włókienniczych Zakładów Żyrardowskich, obecnie „Hermann Goernig — Manufakturwerke”. W dorożce walizki z pieniędzmi i obsada Werkschutzów. Uprzejmie: „Ręce do góry”, szcęk broni, strzały. Wołodyjowski dokonał do dorożki, za nim pędzą bojownicy, — „Cichy”, „Mały”, „Czajka”. Dorożka, pełna krwi sączącej się z trupów zabitych Werkschutzów sunie po ulicach miasta. W Alei Wolności dochodzi do walki z patrolem Wehrmachtu. Wybuchy granatów. Pada podporucznik „Cichy”, trafiony kulą.

Z czynu tych ludzi, tych bojowców, niewątpliwie zrodziły się późniejsze ekspropracje dokonane przez żołnierzy A. K. W Warszawie przy ul. Miodowej dokonali oni śmiałego napadu na kasę Banku Emisyjnego, w Częstochowie operacją kierował 23-letni ksiądz wikary. Technika bojowa ekspropracji została stworzona przez żołnierzy Armji Ludowej.

## NA TORACH KOLEJOWYCH

Mówiłem o tem, że nasza organizacja została zrodzona na torach wroga i na torach wroga hartowała swe kadry. Żołnierze A. K. pragnęli na równi z żołnierzami A. L. sparaliżować transport wroga. Żołnierz A. K., jak i cały naród rozumiał, że każdy transport niemiecki wylatujący w powietrze, skraca czas trwania zniemawidzonej, okrutnej wojny.

Do połowy 1943 r. dowództwo ówczesnego P. Z. P. (Polski Związek Powstańcy), późniejszego A. K. zabraniało dokonywania aktów sabotażowych na kolei, uważając, że to wyjdzie jedynie na korzyść Związku Radzieckiego. Oto konkretny przykład: W lutym 1942 r. trzech żołnierzy Oddziału Partyzantów Ziemi Kieleckiej, pod dowództwem sierżanta „Pistoleta” korzystając z wywiadu udzielonego przez miejscową placówkę A. K. zajęło zwrotnicę kolejową pod stacją węzłową w m. Zagnajsk i puściło „ekspres Berlin — Warszawa na stojącej na boczny torze pociąg towarowy z częściami samolotowymi. Po tej katastrofie kolejowej, kierownik miejscowej placówki P. Z. P. został przez swoje władze zwierzchnie zawieszony w czynnościach organizacyjnych, pomimo, że był twórcą miejscowej organizacji jeszcze w okresie narodzin Z. W. Z.

Samoloty sprzymierzonej W. Brytanji zrzucały nad Polską broń i materiały wybuchowe. Broń ta w olbrzymiej większości leżała bezczynna, a znakomity materiał wybuchowy „Plastic” rzadko był używany na torach wroga. Nasi bojownicy odczuwali brak materiałów pirotechnicznych i uderzali na arterję komunikacyjną wroga, używając najprymitywniej-

szych środków: rozkręcali tory, kładli na torach prymitywne wywrotki, używali do wysadzania torów odgrzebanych jeszcze z walk 1939 r. pocisków artyleryjskich. Taką to 75-ką został wykolejony między Skierniewicami a Żyrardowem w maju 1943 r. ekspres berliński.

Wróg nauczył nas walki, nieustępliwej a okrutnej walki na śmierć i życie. W walce tej wróg nie oszczędzał ni kobiet ni dzieci, mordując bezbronną ludność w miastach i na wsi. W kwietniu 1943 r. w górach Świętokrzyskich, po okrutnej pacyfikacji wróg spalił wieś związaną z tradycją powstańca — Wzdół.

Zbiry hitlerowskie wpadły do chałup miażdżyli kolbami kobiety i dzieci. W tym samym czasie została spalona wieś Luta, w której kwaterował jeszcze major Kubala. Nie mogło to ująć wrogowi na sucho. W okolicy Radoszyc spalono za to wieś zamieszkałą przez kolonistów niemieckich; na trasie kolejowej Suchedniów — Skarżysko zatrzymano pociąg osobowy, wyciągnięto z wagonów wszystkich, którzy byli w wagonach „Nur für Deutsche”, zostawiając na trupach kartki „Za Wzdół”. Wróg zrozumiał, że polski żołnierz umie płacić jednakową monetą i mimo, że nie czuł kultu dla zbrodniczej zasady hitlerowskiej odpowiedzialności zbiorowej, nie cofnie się przed niczem, by osadzić bestję. Oficerowie oddziałów, które dokonały tych „operacji”, porucznicy „Kiliński” i „Oset” padli w boju z wrogiem; trzeci oficer, por. „Zbik” został zamordowany przez faszystowskich zbrodniarzy z N. S. Z.

## GWALT ODCISKA SIĘ GWALTEM

Do 1943 r. były dwie odmienne postawy żołnierza polskiego — czynność i bierność. Przykład straszliwej martyrologji Żydów, narodu doprowadzonego precyzyjną metodą tortury do stanu bezwładu psychicznego, wskazywał, że okupant nie będzie cofał się przed żadnymi przeszkodami na drodze do likwidacji narodu polskiego. Ludzie, nie znający życia w kraju, dziwią się owej napozór bezmyślnej fali aresztowań, które dotyczą wszystkich, i tych, którzy brali udział w życiu nielegalnym, i tych co byli zwykłymi zjadaczami chleba. Swoją polityką terroru i rabunku na ziemiach polskich, okupant obrócił przeciwko sobie olbrzymią część społeczeństwa polskiego.

W tym napozór bezmyślnym terrorze, przeciwko wszystkim, kryła się zasada wyniszczenia każdego Polaka bez względu, czy jest czynny, czy bierny wobec okupanta. Wystarczyło to, że znalazł się na ulicy podczas „Japanki”, by trafił do Oświęcimia, Treblinki, czy Majdanka. Wystarczyło, że jest Polakiem, by trafił na Pawiak w Warszawie, do Montelupich w Krakowie, czy na Zamek w Lublinie. Ostrze terroru godziło przede wszystkim w inteligencję i przodującą warstwę proletariatu. W tym straszliwym planie okupant miał pozostawić naród bez przewodców, kierowników, a potem ten naród wypruty ze wszystkiego po zwiastwie na wschodzie chciał okupant doprowadzić do stanu umęczonych Żydów. Po zabójstwie Kutschery Himmler na odprawie wyższych oficerów SS w Warszawie powiedział: „Polacy gorsi są od Czechów, Francuzów, Belgów, Holendrów, Serbów i Ukraińców. Jedna moja rada, proszę pamiętać: umarli muszą milczeć!”

Lecz żywi bez względu na przynależność organizacyjną milczeć nie chcieli i nie milczeli. Na terror okupanta odpowiedzieliśmy równą monetą.

Jan Kryś, żołnierz A. K., robotnik-metalowiec, sam jeden udaje się nocą do szumiącej wesołością „Adriji” i tu wśród oprawców hitlerowskich znajduje gestapowca, na którego padł wyrok śmierci. Stefan Jodłowski, włókienniarz Żyrardowskich Zakładów Włókienniczych („Hermann Göring Manufaktur-Wer-

ke”), członek i organizator Polskiej Partji Robotniczej, porucznik Armji Ludowej, sam jeden wśród tłumy wychodzących z „Deutsches Haus” członków N. S. D. A. P., wyszukuje jednego z inspiratorów krwawej żyrdowskiej pacyfikacji, przywódcę hitlerowskiego inżyniera Daxa i trzema strzałami wali go na ziemię. Gdy wydano wyrok śmierci na Daxa, do wykonania wyroku zgłosiło się wielu ochotników. Porucznik Stefan tak motywował swoją prośbę, by jemu powierzono wykonanie wyroku: „Ja, obywatelu, nie będę przed wami ukrywał — jestem partyjny. Wychowała mnie PPR. Dax, obywatelu — dowódczo, jest partyjnym hitlerowcem. Jako partyjny mam lepsze prawo do partyjnego”.

W tej motywacji kryła się niewątpliwie wielka prawda, którą robotnik Zakładów Żyrardowskich Stefan Jodłowski wyłożył prostym językiem. Z miesiąca na miesiąc stawało się jasniejsze, że okupant przedwzrostkiem stara się uderzyć w ten rdzeń nieustępliwej walki z najazdem hitlerowskim, jakim była Polska Partja Robotnicza. Żołnierze tej organizacji, wchodzący w skład A. L., a często i A. K., stworzyli typ nieustępliwego bojowca, nie znającego pardonu w walce z okupantem.

## SYNOWIE TEJ SAMEJ ZIEMI

Wróg starał się zastosować i stosował w walce z narodem polskim metody dobrze znane i wśród innych narodów Europy, wśród Greków i Jugosłowian, starał się wygrać jedną organizację przeciwko drugiej, by samemu stać na boku i przyglądać się, jak Polacy własnymi rękoma wykańczają jedni drugich.

Zbiry z N. S. Z. poszli na całkowitą współpracę z okupantem. „Zbik”, watażka faszystowski, operujący na terenie powiatu włoszczyńskiego, otrzymał od szefa gestapo w Radomiu broń maszynową, którą miał obrócić przeciwko żołnierzom z A. L. Na terenie powiatu tomaszowskiego i kieleckiego oddział bandytów z N. S. Z., zaopatrzony w broń niemiecką, pacyfikował szereg wsi, posiadanych o przynależność organizacyjną do A. L. i B. Ch., mordując szereg demokratów — oficerów z A. K. Oddziałem tym dowodził faszystowski najmita kapitan — lotnik „Sudwoj”. Tym zbrodniczym, bratobójczym wystąpieniem N. S. Z. sekundowały reakcyjne, zbrodnicze elementy z A. K. Pod Borowem na Lubelszczyźnie został wymordowany rękoma Polaków oddział Armji Ludowej im. Kilińskiego. W Mogielnicy i Grójcu wymordowano szereg działaczy niepodległościowych, demokratów z A. K. i działaczy socjalistycznych. Już w ostatnim okresie zostali zdradziecko zamordowani prof. Marceli Handelsman i Halina Kraheńska. Żołnierz polski gardził tymi reakcyjnymi zbirami, bez względu na swoją przynależność organizacyjną. Jan Kryś, robotnik-metalowiec, nieustraszony bojowiec z A. K., Stefan Jodłowski, robotnik Włókienniczych Zakładów Żyrardowskich, nieustraszony żołnierz A. L., obaj wychowani w tem samym środowisku, obaj gorąco miłujący ojczyznę, to symbole szczerzy, bezkompromisowych, oddanych sprawie Polski, pomimo różnicy przynależności organizacyjnej — bojowców. Jeżeli niektórzy przywódcy A. K., idąc za przykładem sprzedanego N. S. Z., stali się faktycznymi współpracownikami okupanta, to dla nas, bojowców, bez względu na naszą przynależność organizacyjną, postać Jana Kryśa będzie bliska i droga, jak bliska i droga nam jest postać walczącego w naszych szeregach włókienniarza — bojowca Stefana Jodłowskiego.

Dwaj inni ludzie, z innej gliny lepieni niż Jan Kryś i Stefan Jodłowski, to stary nasz „Bruzda” i „ich”, „Goljat”. Jednego i drugiego nazywam ich bojowcami pseudonimami, gdyż ich rodziny mieszkają tuż niedaleko za Wisłą. „Bruzda”, prof. gimnazjalny, uciekł z małego miasteczka, w którym przed wojną mieszkał, bo nie chciał stawić się do rejestracji oficerskiej, jak inni koledy — oficerowie, którzy dobrowolnie oddawali się w ręce okupanta, by trafić do Oflagu. Poszedł drogą żołnierza-bojowca, rozpoczął swą działalność na ziemi kieleckiej od organizowania Stronictwa Ludowego i Z. W. Z. Będąc inspektorem okręgowym Z. W. Z. tworzył wbrew sanacyjnym przywódcom, dobrze znanym w Polsce, jak n. p. były wojewoda wołyński Józefski, Bataljony Chłopskie. Był to 1942 rok: zaczęła się zhora wysiedleń, mordowań kobiet i dzieci, kolonizacja Volksdeutschow besarabskich na ziemi polskiej, słowem — zhora Zamojszczyzny. Lubelszczyzna odczuła wówczas metody rządzenia oberkata Globocnika. W toku walk z kolonizacją Zamojszczyzny zrodziły się pierwsze oddziały chłopskie, oddziały „Chłostry” (Chłopska Straż), z której różnie powstały B. Ch. (Bataljony Chłopskie). Dowódcą organizacji bojowych chłopstwa i grup bojowych młodych socjalistów z P. S. (Polscy Socjaliści) był pułk. Emil Horak, b. oficer sztabu generalnego i wnikliwy autor broszury o klęsce wrześniowej. „Prof. Bruzda”, stary radykał i żołnierz, musiał uciekać z Kielecczyny, gdyż Z. W. Z. wydał na niego wyrok śmierci.

Jeżeli wróg poróżnił Europę, rzucając narody do bratobójczej walki, to i nasze życie podziemne uległo dzięki sanacyjnym możnościom rozprzerzeniu od wewnątrz i znane choćby z przemówienia Churchilla wyczynny czetników Michajłowicza ble-



Atak w lesie

fot. A. Forbert



dną w porównaniu z wyczynami kapturowymi Z. W. Z.

„Bruzda“ uciekł do Warszawy. Za „Bruzdą“ poszedł wyrok śmierci. Został on przekazany do wykonania prowokatorskiej organizacji „Mieczy i Piłga“. Historyk naszych współczesnych dziejów musi zwrócić za kulisy życia podziemnego Polski.

Organizacja niby nielegalna, a stworzona faktycznie przez gestapo; twórcami jej byli b. urzędnik w ministerstwie spraw zagranicznych Andrzej Słowikowski i Reichsdeutsch dr Graabe, twórca prowokatorskich organizacji w Norwegii, Holandii i w Polsce. Siedem kul, które dostał prof. „Bruzda“, tym razem nie wykończyło go, ale tych siedem kul wpakowanych z niemieckiego „Walera“ sprowadziło owego radykała na właściwą drogę. Stał się jednym z dowódców A. L., wykładając w nielegalnej szkole podoficerskiej, rozpoczyna — jak my wszyscy — pierwsze boje akty, likwidując szpiclów, prowadząc „roboty“ torowe, niszcząc urządzenia gminne. Został wybrany pierwszym przewodniczącym Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej. Ten zaszczytny wybór spotęgował jego wysiłek zbrojny. Ginie lekkomyślnie, tak jak zginął dzięki lekkomyślności jego bliźni przyjaciel z A. K. „Goljat“. „Bruzda“ zginął dlatego, że miał dziwaczne przywiązanie do własnej chałupy. „Goljat“ zginął dlatego, że niegdyś w swojej robocie zrobił „Parabellum“ i tak się do niego przyzwyczaił, że nosił go wraz ze swym „Coltem“ za pasem.

„Goljat“ był aktorem teatralnym i uczniem szkolnym „Bruzdy“. Kiedyś byłem świadkiem długiej i dziwnej rozmowy; w „Bruzdzie“, człowieku starym, drzemała jakaś rzewność do młodego i pięknego „Goljata“. Obaj marzyli o Polsce. Właściwie nic ich nie dzieliło: „Bruzda“, ludowiec, oficer A. L., walczył o Polskę demokratyczną i takiej też Polski chciał „Goljat“, oficer A.K. Rozpoczął organizowanie młodzieży warszawskiej bardzo wcześnie. Sam, bez niczyjej pomocy zorganizował batalion A. K. i z tego batalionu wyłonił miejską grupę dywersyjną. Pierwsze jego nieporozumienia z czynnikami miarodajnymi P. Z. P. zaszły w okresie, gdy zastępca w jego batalionie był poległy w Częstochowie, porucznik „Grad“. Otrzymali wtedy tylko co ze zrztu nowiuteńkie bomby zegarowe. Rozkaz nakazywał zmagać się. Obowiązek żołnierza nakazywał broni użyć. Pierwsza kolizja sumienia i obowiązku. Po krótkiej walce wewnętrznej postanowili bomby tytułem próby użyć w pałacu Blanka. Chcieli, jak to potem opowiadali, trochę nastraszyć gubernatora warszawskiego Fischera. Dowództwo A. K. ten piękny czyn bojowy uznało za niesubordynację. „Grada“ przeniesiono do Piotrkowa na ochronę punktu radiowego, a „Goljatowi“ chciano zabrać batalion. Organizować od nowa w tak ciężkich warunkach — to bardzo trudne. Cios, wymierzony w młodego dowódcę — bojowca, był dobrze wymierzony.

Na jego miejsce przydzielono do batalionu jakiegoś emerytowanego kapitana, który przed wojną pracował w Kasie Chorych, a w czasie wojny w urzędzie kolczykowania bydła u Niemców. „Goljat“ na pożegnanie bierze batalion w łasku pod Łomiankami, lasówk obstarwia karabinami maszynowymi, sprowadza kapelana i każe mu odprawić mszę polową za poległych w walce z okupantem i za poległych z ręki własnych rodaków. Kiedy bojownicy „Goljata“ brali udział w uroczystej mszy tuż pod Warszawą, w Warszawie szalała w dniu tym łapanka; przechodzący Alejami Ujazdowskimi oddział S. A. bojownicy A. L. obrzucili granatami. Dwa dni potem, śmiało przechodząc przez ulicę, natknął się na patrol SS — i 18 SS-manów osaczyło samotnego bojowca. W ciągu godziny grały samolaty i rzadko odpowiadało „Parabellum“ i „Colt“. Gdyby nie miał przy sobie broni, mógłby się wymigać „lipową“ kennkartą.

Jan Kryś, Stefan Jodłowski, stary prof. „Bruzda“ i młody aktor — bojowiec „Goljat“, to synowie tej samej, umęczonej polskiej ziemi, stwardniała w boju ludzkie, którzy o to samo walczyli pomimo różnej przynależności organizacyjnej, żołnierze, którzy wbrew wysiłkom pewnej części A. K. nie dali się zmusić do walk kainowych w Polsce i którzy dziś muszą się znaleźć we wspólnych i drogich nam wszystkim szeregach Wojska Polskiego.

#### ZASLEPIENI

Jeżeli mowa o mentalności pewnych oficerów z A. K., to chciałbym przytoczyć rozmowę z początku wiosny roku 1943, gdy do mnie, jako do dowódcy oddziału leśnego, zgłosiła się delegacja oficerów od ówczesnego dowódcy P. Z. P. gen. „Grot“, proponując mi wysokie bojowe odznaczenie, awanse i t. d., byłbym przystąpił do P.Z.P. Jest to chiński sposób kaptowania oficerów. Rolę oficera łącznikowego gen. „Grot“ pełnił wówczas kpt. „Blysk“. Było to po okresie, kiedy wspólna walka naszego oddziału z oddziałami garnizonowymi A. K. spotęgowała się, kiedy sam niejednokrotnie dowodziłem we wspólnych operacjach bojowych oficerami, podoficerami i szeregowymi A. K., których za ich dyscyplinę wojskową i sumiennosc w służbie cenilem. Rozmowa owa zesłała na tory polityki europejskiej,

i kolejno kraj za krajem odnajdywano na mapie w skromnej naszej kwaterze sztabowej, i kolejno problemy poszczególnych krajów omawiano się w szczupłym gronie oficerskim. Kiedy niektórzy z nas wspominali Tita, imię to spotykało się z pogardliwym machnięciem ręką, a de Gaulle'a oceniono tak jak i nas — jako płatnych pacholców obcego mocarstwa. Szczególnie eskadra „Normandie“, walcząca na froncie wschodnim, budziła dziwną niechęć u tych młodych, a już tak nieszczęśliwie zdemoralizowanych oficerów.

Było rzeczą wiadomą, że gen. „Grot“, jeden z inteligentniejszych sztabowców i ówczesny dowódca P. Z. P., ku zgorszeniu niektórych oficerów wychowanych w stęchłej stajni kawalerskiej, był szanowany przez gen. Władysława Sikorskiego.

Smutny przypadek sprawił, że w tym samym prawie czasie doszło do katastrofy gibraltarskiej i aresztowania w Warszawie gen. „Grot“. To co mówił „Blysk“, było zwiastunem zbliżającej się epoki Sosnkowskiego i „Bora“, epoki jawnej dyktatury sanacyjnej w szeregach A. K. i Wojska Polskiego w Szkocji i na Bliskim Wschodzie. Czynów bojowych Gwardji Ludowej kpt. „Blysk“ nie mógł jawnie dyskredytować, uważał tylko, że „zawczasem, że jeszcze niepotrzebnie, bez rozkazu z Londynu, a co najgorsze, to wszyscy do kupy — to komuniści“. Uśmieiał się serdecznie, gdy rozstawaliśmy się i nasza warta partyzancka prezentowała broń. „Właściwie — pytam — czy pan spodziewał się jakichś rezultatów ze swego przyjazdu do nas?“ „Nie, chciałem tylko panu powiedzieć — i tu przez okulary zaskliło się zimne spojrzenie — w Polsce nikt nie robi kariery Tita lub de Gaulle'a. O to my się postaramy!“

#### W LESIE

Życie ludzkie stawało się coraz droższe, a śmierć coraz tańsza. Właściwie trudno mówić o pogardzie życia, a raczej można określić to jako pogardę takiego życia, jakie pędził niejeden obywatel pod rządami gestapowskich oprawców. Oslawiony pistolet maszynowy „Bergmann“ grał w lesie i grał na ulicach miast i suchy jego trzask przestał ścigać nas dopiero trzy dni temu pod Krasną, gdzie w potyczce straciliśmy trzech żołnierzy. Wiosna była wczesna i brudny śnieg rozpylał się pod obcasami. Było to po nocnych ćwiczeniach i w lesie rżała kłaczka. Gienka była własnością pani Rity von Kowalsky, żony pruskiego junkra, który w nagrodę za rany otrzymane nad Mozlą rozżościł się w majątkach „Liegenschaftu“ pod Kielcami. Rita von Kowalsky miała szerokie, jak przystało na prawdziwą Niemkę, stopy, jasne włosy i rude rzęsy, a pozatem — ku zgorszeniu wszystkich — drużynowy Stach, dokonujący akcji w majątku, darował jej życie. Rzuciła mu się na szyję.

Kłaczka wprowadziła u nas sporo wesołości. Przedewszystkiem mały, perkaty Mikołaj pomylił pleć kłaczki i nazwał ją Ribbentrop. Tak już to zostało. Lejtnant sowieckiej kawalerji i dezertor od Własowa Buriato-Mongoł, przezywany przez wszystkich „Pukiem“, wciąż ciął się z kpiarzem Mikołajem, który uparcie twierdził, że właśnie Ribbentrop to wałach, a nie kłaczka, i że niemiecki wałach w instytucyjnie rasologicznym jest zupełnie inaczej kastrowany.

Oddział nasz wzrósł niewspółmiernie do siły naszego ognia. Przed Stalingradem, gdy tylko serca męźnych wytrzymały te cioty, które spadały raz po raz na wszystkie narody, było nas dwunastu i mieliśmy z dobre karabiny. Na dwunastu żołnierzy czterech było podoficerami. Przysłani zostali przez warszawską młodzież: Czesiek, Władek, Jurek i Gustaw. Najstarszy z nich, Czesiek, miał lat 18 i był szewcem z zawodu, najmłodszy Gustaw miał lat 15 i był przed wojną uczniem korpusu kadetów we Lwowie. Teraz było nas blisko dwustu i mieliśmy tylko 3 erka-

emy, z których jeden strzelał ogniem pojedynczym. W naszej szkole podoficerskiej wykładano o granatnikach, o cekaemach, minomiotaczach i pistoletach maszynowych i instruktorzy musieli wszystko wyrysować na papierze, gdyż nawet nie było modeli do nauki. Ile jednak zawziętości mieli ci chłopcy ćwiczący codziennie musztrę formalną i służbę polową, marząc o szkole podchorążych! Zagadnienie wyszkolenia — to zagadnienie specyficzne oddziału partyzanckiego. Im oddział lepiej wyszkolony, im bardziej zdyscyplinowany, tem zwinniejszy jest w boju, tem szybciej może się oderwać od prześladowanego wroga, tem lepiej zadaje ciosy. My, ludzie Kielecczyny, dobrze przemyśleliśmy, gdzie leżały przyczyny kruchości operacyjnej majora Kubali.

Dowódca oświatowy oddziału, podchorąży Olek był z zawodu reżyserem teatralnym i opowiadał mi na służbie polowej, gdzie porucznik 28 pułku piechoty, Władysław Bugajski ganiał chłopaków sękatym kijem, o sztuce teatralnej, którą niegdyś reżyserował. Rzecz odbywała się podczas rewolucji we flocie czarnomorskiej i zajmowała się problemami dyscypliny i stosunku nowych dowódców do starych oficerów z korpusu armji. Inna epoka w dziejach człowieczych, — sprawy jednak podobne.

Jakże to dobrze, że śnieg wsiąka w ziemię i niema śladów po lesie! Ślady, to przecież najgorszy wróg partyzanta. Przerwa w ćwiczeniach i harmonja długim akordem zagrała ową piosenkę tak głośną: „Niemasz to jak partyzant“. A potem hymn oddziału, starą powstańczą pieśń: „Gdy naród do boju“, pieśń, która stała się później hymnem A. L.

Ze sztuki sprawa schodzi zawsze na wszy, a z wszy na podręcznik dowódcy plutonu, który wreszcie przysłało Stowarzyszenie Opieki nad naszym oddziałem i który właśnie kurjerka przywiozła z Warszawy. W oddziale naszym ramię przy ramieniu walcza socjaliści i ludowcy, młodzież z P. O. Z. ze Skarżyska i peerowcy spod Koneckiego. Mapy, które przysłał nasz sztab, odbite w jakiejś prymitywnej drukarni, są tak wrażliwe, że nie radzę nikomu, by się nimi posługiwał. Nasze Stowarzyszenie Opieki składa się z socjalistów, ludowców, demokratów i pepeerowców z nieocenioną iremą na czele. Przysłała lekturę do czytania, m. in. „Demon leśny batalionu“ — Roberta. Niezgodna namiętna podręcznika dowódcy plutonu. Zaryzykowałem nawet, że stary nasz „okuty“ podręcznik dowódcy plutonu w porównaniu z tą książką składał się ze steku inteligentnych bezsensów, które do naszych warunków specyficznego wojska, wojska bez zaplecza inżynierskiego, wojska, gdzie tylko decydował moment ruchu i zaskoczenia, miał jedynie zastosowanie w klasycznym operowaniu ogniem w plutonie.

#### GÓRA I DOŁY

Niedawno wpadł mi w ręce pamflet wzmierzony przeciwko Wojsku Polskiemu. Zaklepienie i bezsens. Właściwie ci panowie lepiej uprawiali mordę kapturową, bo z argumentacją — to zupełnie krucho. Bo chociażby to: „Żołnierz strzela a Pan Bóg kule nosi“, świetne przysłowie, ale chwila w tym wypadku, jeżeli panowie życzą sobie, żeby polscy żołnierze w odrodzonym Wojsku Polskiem strzelali do swoich dowódców, wyrosłych w bojach wzwolenczych.

Każde narodowe wojsko wzwolencze podobnie jak i walki społeczne maia swoje dziwne aspekty, jeżeli chodzi o korpus oficerski. Marszałkowie rewolucji francuskiej i Napoleona niewiele przedtem mieli wspólnego z zawodem generałkim, a stworzyli zupełnie nową taktykę walk i bili wroga na wszystkich



Z walk o Warszawę. Pozycje artylerji nad Wisłą  
Fot. A. Forbert

frontach. Dowódcy, wyrosli w narodowych walkach wyzwolenczych na Bałkanach, byli synami czarnogórskich chłopów. Dowódcy wojny demowej w Rosji wyrastali z fabryk i wsi. Nieraz zastanawiamy się, przyjmując do oddziału kilkunastoletnich chłopów, którzy nawet nie mieli za sobą dwu i pół tygodnia owego tragicznego dla nas września 1939 roku, jak to z nimi będzie w pierwszej poważnej potyczce z doświadczonymi niemieckimi żołnierzami. Ci chłopcy, mający w ręku zarzewiały karabin a za pazuchą 15 sztuk amunicji, atakowali podczas okrajania przez niemiecką broń pancerną, artylerję i lotnictwo, wychodzili z okrajania, i znów bili się z nieprzepadłą wolą zwycięstwa.

Jeżeli w pierwszym okresie narodowych walk wyzwolenczych odgrywała olbrzymią rolę inteligencja i duża ilość oficerów zawodowych, to zwiększony terror wroga zaczął wysuwać na pierwszy plan kadry synów chłopskich, podoficerów W. P.

Trudno mówić o A. K. jako o organizacji jednolitej politycznie. A. K. składa się z N. O. W., organizacji wojskowej starej endecji, zerkającej z czułością do swoich kolegów z N. S. Z., składa się z tej części Bataljonów Chłopskich, która w Mikołajczuku widzi swego przywódcę, z Gwardji i Milicji W. R. N., socjalistycznej organizacji wojskowej, i z dawnego Z. W. Z. Te organizacje dały A. K. rekruta, Z. W. Z. dał oficerów. Pomijając ową sieć różnych wydziałów bezpieczeństwa A. K. z osławioną agencją A. I., t. zw. agencją antykomunistyczną, pomijając tych specjalistów od robót kapturowych i specjalistów od podsuwania gestapo swoich przeciwników politycznych, masa żołnierska A. K. nie chce powrotu do starych, przestarzałych form dyktatury jakiejś określonej klikki.

„Brzeszczot“, były turowiec, chłop spod Złotego Potoku, stworzył pierwszy w Polsce oddział leśny Gwardji i Milicji W. R. N. „Brzeszczot“, kapral wojska polskiego, za swoje przekonania przed wojną siedział w Berezie. „Brzeszczot“ formalnie należy do A. K., dlatego, że do A. K. przystąpiła jego organizacja macierzysta w postaci „Brzeszczot“ operuje w terenie pod Częstochową, gdzie lasy są skarłowaciałe i nędzne i skakać trzeba przez nie szybko, tak szybko, by wróg nie mógł uchwycić oddziału w olwiane kleszcze granatników.

„Sowa“, legendarny dowódca Bataljonów Chłopskich, stworzył najsilniejszy oddział B. Ch. w Polsce, który od 1943 roku bił się z okupantem we Włoszczowskim.

Oddziały „Brzeszczota“ i „Sowy“, pomimo że formalnie należą do A. K., są w porównaniu z oddziałami t. zw. Z. W. Z. słabo wyposażone. Broń zrzućowa, zgrabnie wykonane „Vickersy“ i napozór prymitywne „Steny“, nie trafia do ich oddziałów. Zadzroszczą chłopcom z A. L. „Pepesza“, które zostały zrzucone przez radzieckie samoloty jako pomoc dla partyzantów polskich przysłana przez Związek Patriotów Polskich.

„Brzeszczot“ ma grubą i nieprzyjemną aferę. Część jego oddziału była na wspólnej operacji z oddziałem A. L. na torze kolejowym Częstochowa — Piotrków, gdzie rozbito jedną stację kolejową i wykolejono pociąg z aluminium, niszcząc zupełnie 16 wagonów kolejowych i lokomotywę. W związku z tem dowództwo okręgu A. K. na miejsce „Brzeszczota“ przysłało podporucznika rezerwy, nauczyciela wiejskiego, który ma objąć dowództwo nad oddziałem. „Panowie zawsze do gotowego przychodzą“ — mówi „Brzeszczot“. Opowiedział mi historję, której równej do tej pory w Polsce nie słyszałem. Ponieważ „Brzeszczot“ nie chciał się podporządkować dowództwu okręgowemu A. K. i oddać utworzonego przez siebie oddziału, sanacyjna O. P. W. z Częstochowy przekupuje za 20 tysięcy złotych jednego z jego partyzantów, który miał za owe judaszowe srebrniki wyspać do kawy chłopom krucziny. Cały oddział zostałby



Natarcie czołgów

Fot. A. Forbert



otruty, gdyby nie to, że sprawca po wyspaniu trucizny zalał się, gdy zauważył, że jeden z jego towarzyszy broni zbliżył się do menażki do kawy. Pódkoczył do kotłów, wylał zatrutą lurę, pobiegł do swego komendanta i wszystko mu powiedział. „Brzeszczot“, wskazując na te brudne kainowe pieniądze, wzdycha: „Panowie na wszystko są gotowi“.

„Sowa“, dowódca B. Ch., musi znosić w terenie bandyckie najścia jawnego agenta okupacyjnego „Zbika“ z N. S. Z. na działaczy Stronnictwa Ludowego; „Zbik“ był uzbrojony przez wroga po zęby w broń maszynową, a dowództwo A. K. zabrania „Sowie“ rozprawić się z bandytą.

„Sowa“ przeżywa taką samą tragedję jak „Brzeszczot“. Już od trzech miesięcy wymiguje się od oddania dowództwa nad bohaterskim i przez siebie stworzonym oddziałem pewnemu kapitanowi, skoczkiwi ze Szkocji, który ukończył szkołę „Commandosów“. „Sowe“ gnębią te same problemy co „Brzeszczota“, a „Brzeszczota“ te same problemy co „Sowe“. Jeden i drugi, bez zezwolenia władz A. K. wywała pociąg, uderza na posterunek niemieckie, jeden i drugi zachwyca się legendarną postacią odległego od nas Tita. Każdy z nich rósł w boju na dowódcę i w boju dosługiwał się szarzy, nieznaney w żadnym regulaminie, szarzy uznawanej przez lud: „Obywatelu komendanta“, czy też „obywatelu dowódcy“. „Brzeszczot“ chciałby w każdym mieście widzieć uniwersytety ludowe, „Sowa“ marzy o ziemi dla chłopów. „Brzeszczot“ i „Sowa“, jak i olbrzymia większość dowódców A. L., wyrosli z szeregów ludu, a swoją umiejętności dowodzenia w boju, ową iskrą bożą dobrego dowódcy daleko zdystansowali oficerów, którzy niejedną ukończyli szkołę. Do szeregów A. K. należy również jeden z dowódców oddziałów, były turowiec z Łodzi, operujący w Piotrkowskiem i ukrywający się pod pseudonimem „Robotnik“. Na dzień 1-go maja 1944 roku „Robotnik“ przysłał do mnie list, w którym pisał o swojej walce i o swoich marzeniach na przyszłość. Jakże to inne marzenia i zamiary od marzeń i zamiarów „naczelnego wodza“ w Londynie. Ci dowódcy, wyrosli w epoce narodowych walk wyzwolenicznych, umieją dowodzić swoim żołnierzem. Żołnierze kochają ich za to, że w tych ciężkich godzinach nie stali z bronią u nogi, ale prowadzili ich do boju przeciw tyranji hitlerowskiej. I dlatego też, jakże niemądry jest ten paszkwil, który żołnierza, syna ludu polskiego, chce obrócić przeciwko oficerowi ludu polskiego, zahartowanego w walce o wolność ojczyzny. Jeżeli do Stalingradu były dwie postawy żołnierza polskiego: czynna i bierna, to po Kursku i Tunisie, istotne stało się pytanie, jakąż ma być odradzająca się Polska w męce. „Brzeszczot“, „Sowa“ i „Robotnik“ to już dowódcy drugiej epoki, nie tylko bijący wroga, ale również myślący o urządzeniu własnego państwa na nowych, demokratycznych podstawach.

Ocena, którą stale na odprawach dawał dowódca naczelny A. L. gen. Rola, że w ostatecznej rozgrywce o duszę narodu polskiego A. K. będzie miała przeciwko sobie większość uczciwych dowódców bojowych, wyrosłych w szeregach A. K., okazała się słuszną na przykłady „Brzeszczota“, „Sowy“ i „Robotnika“.

#### WOJNA ZBOŻOWA

Gdy Gwardja Ludowa w związku z kontyngentami zaczęła niszczyć „Liegenschafty“, zbiory i spisy gminne, gdy rekwirowała zbiory, rozdając je ludności polskiej, A. K. sprzeciwiła się tej akcji i usiłowała ją zdyskredytować w oczach narodu. Gdy jednak „walka o chleb“ stała się wśród ludności wiejskiej bardzo popularna, dopiero wtedy A. K. wystąpiła przeciw kontyngentom, nie rzucając przecież wszystkich swoich sił dywersyjnych.

Jeżeli transport niszczyło się przez okrągły rok, to walka z kontyngentami rozpoczynała się tuż po żniwach. W różnych terenach różnie postępowało. Opowiadał mi kiedyś jeden

z naszych oficerów, Polak z Francji, który słysząc o naszej walce w kraju, zapisał się do organizacji I odata, udał się na front wschodni i w Warszawie znikł z transportu. Nazwaliśmy go „Francuz“, gdyż rozmitowany był w narodzie i w kuchni francuskiej. Opowiadał o robocie bojowców francuskich, którzy, najwyżej w trojkę, podjeżdżając do piącu ćwiczeń SS, gdzieś w odległym Nancy rzucili wiązki granatów, by później szybko umknąć na rowerach. Bardzo często zastanawialiśmy się, jak w terenie nizinym, bezleśnym, rozwiązać problem taktyki oddziałów partyzanckich, a więc taktyki zwinnego uderzenia i szybkiego oderwania się od miejsca akcji. Latem 1943 roku na terenie powiatu grójeckiego, zjawiał się jak meteor i szybko znikł ginąc w walce z okupantem partyzant z bożej łaski, dezertier któregoś Infanterie - Division, obergefreiter o nazwisku nieznanem, którego lud ze względu na jego pochodzenie przezwali „Pepik“. Był to Czech ze Sudetów, który walcząc gdzieś na Ukrainie, dowiedział się, że Niemcy ojca jego za przynależność do socjal-demokratycznej partii internowali w Dachau i stracili. Uciekł z pułku, który przetrucano właśnie na Bałkany, zorganizował watahę i brał odwet na wrogu. Wsławił się ów „Pepik“ tem, że przed wstąpieniem do A. L. nie rozstrzeliwał Niemców, ale ścinał im głowy toporem. Różną gorzej niż bydło i spod jego sprawiedliwego topora prawdopodobnie nie ocalałyby swej głowy powabna Rita von Kowalsky. I ów „Pepik“ wsławił się właśnie tem, że był pierwszym w Polsce dowódcą oddziału partyzanckiego, który dał przykład, jak w terenie bezleśnym i nizinym można odrywać się od miejsca akcji przy pomocy roweru.

W 1943 roku Niemcy w żyznej ziemi grójeckiej nie mogli zabrać naznaczonych kontyngentów zbożowych — była to niewątpliwie zasługa „Pepika“ i jego oddziału.

#### CJANEK

W tym dniu, gdy podchorąży Kazuba, wykonując rozkaz „Pepika“, na czele swoich chłopców spalił jeden z największych magazynów zbożowych w Chynowie, tramwajarka Łódzia, dziewczyna bez trwogi wożąca broń w pociągach poprosiła o cjanek. Kto pamięta historję Katowa w „Doli człowieczej“ Malraux — historję owej kruszyny cjanu potasu? Dziewczęta nasze nie otrzymywały cjanu. Same zresztą wołały „siódemkę“, ale tego dnia Łódzia uparła się, gdyż widziała straszliwą egzekucję w Warszawie, gdzie rozstrzelano 127 niewinnych ludzi. Usta mieli zagipsowane i szli milczący na egzekucję w papierowych ubraniach.

Później już, na wiosnę 1944 roku, rozmawiałem z dowódcą oddziału, który przywędrował z Tarnowskich Gór pod Olsztyn i przyniósł meldunek o sabotażu dokonany przez naszych bojowców w wielkiej fabryce zbrojeniowej Hoffmann-Linke-Werke we Wrocławiu, gdzie unieruchomili hale maszyn. Opowiadał o tem, jak górnicy Zagłębia naśladowali dynamitaros hiszpańskich, dynamitem wysadzają pociągi w powietrze. Żołnierze ci przynieśli słoń cjanu potasu i dowódca oddziału „Ryś“, stary powstaniec śląski, patrząc na słoń mówił: „lepiej to niż tortury“. „Stalę“, aktywista robotniczy, ma zdarte płuca, zdarte dziąsła i zdarte nogi, to znaczy gruźlica, to znaczy szkorbut, to znaczy reumatyzm. Mimo to niestrudzenie organizuje naród do walki. Patrzy z podziwem na słoń cjanu i mruży jak kot oczy — „dalibyscie odrobinę“.

W cjanu zawarta była jedna prawda: nie będzie w razie wyspy tortur, nie będzie ohydneho upodlenia człowieczeństwa.

Kapitan Hanicz, stary bojowiec, węszący jak węzeł z oddali Niemca, bojowiec, który w 1943 roku dowodził akcją uwalniania więźniów politycznych w Radomsku, głaska swego Visa i o dziwo — również sięga po cjanek.

Wtedy nie wytrzymał już Bartek. Człowiek napozór szorstki, o niewybrednym leksykonie, człowiek o sercu tkliwym jak serce dziewczyny. I krótko: „Coście z tym cjanikiem powarjowali! Taka wasza...“

#### ZNANI I NIEZNANI

Historja walk wyzwolenicznych jest znacznie bogatsza, o wiele barwniejsza i o wiele okrutniejsza, niż nam udało się w tym krótkim szkicu przedstawić.

W czerwcu 1944 roku, tym razem na Lubelszczyźnie, jak wilki stepowe wciąż byliśmy na tropie uciekającego zwierza. Rolę ściganych zamieniliśmy na ścigających; front pękl w stalowych kleszczach marszałka Rokossowskiego pod Chełmem i żołnierze pobitej armii gen. Dębure mieli twarze tak dobrze nam znane z września 1939 roku, twarze ludzi nękanych i zmęczonych, twarze ludzi kłęski frontowej, twarze ludzi pędzonych do kaźni obozów koncentracyjnych, twarze partyzantów nękanych w obozach, twarze młodych chłopców i dziewcząt ganianych na łapankach ulicznych. Inne to były twarze, tych stojących w miasteczkach lubelskich rzędem przed nami bez czapek, bosych i obdartych wojowników frontowych Hitlera. To już nie zdobywcy Warszawy, Paryża, Brukseli, Salonik, Belgradu, Kijowa i Smoleńska. To twarze umęczonych ludzi, żebrzących o życie.

Nie sądziliśmy wtedy, ani ja ani moi towarzysze bojowi, pułkownik „Ignac“ i „Władek“, że będziemy mogli przesyłać w legalnym piśmie nasze braterskie pozdrowienie walczącym towarzyszom broni za Wisłą. Przyjdzie

#### MIECZYŚLAW JASTRUN

## List w przestrzeń

### I

Jak w poemacie Norwida ów Grek,  
Którego matka wiodła ród z Iliru,  
Ginący w jatkach, jakby zabity przez wiek  
Nie przez ludzi, broczący krwią na lapis martirum,  
Tak wielu, nazbyt wielu spośród nas  
Ginęło od ułamka sekundy,  
Od trafu, w pustce straszliwej,  
Rzekłbyś: zabitych przez czas,  
Co jednak unosi umarłych i żywych  
Spowijając ich w białe swe nurty.

Ginął marnie, kto o śmierci godnej  
Roil, rozwalony o mur,  
Jak wół zarżnięty... za świadków zbrodni  
Mając kamienie — niemy chór.

Takim był — jeden z miliona zabitych —  
Polak czy Grek, mniejsza o imię,  
Zapamiętajcie datę, lżejsza od dat bitew,  
Od narodzenia Chrystusa — 1944 rok,  
Uniesiony dymem  
Krematorium —  
Gdzie jego proch?

Takim był — jedno z trzech milionów zdarzeń —  
Wiedziony na śmierć za to, czem nie był,  
Żyd, ojciec z małym synkiem. Widzę: dziecko  
[placze.

Ojcu, gdy się nachyla nad niem, nie łzy, krew  
[uszła z twarzy.  
Spłoszona litość, oko zimne, dzień nie świeci  
[niebem.  
I proch tułacza ziemi zostanie tułaczem.

Kto konał za to, czem był,  
Lub za to, czem być marzył?  
Takich śmierci ciężar wszystkich brył  
Ziemi nie zrównoważy.

Ogniem wybuchu, miążdży twarz bruków  
Barbarzyński mit —  
Zrywa się noc z tryumfalnych łuków,  
Pryskają złamki grobowych płyt.

Nie łzawy ogrodnik Quidam  
Zasieje kwiaty na zgłiszczach.  
Kto rzekł: Na mękę syna swego wydam,  
Okrutnym był i nierozumnym ojcem.  
Krew nie oczyszcza.

Zamordowany będzie jeszcze raz  
Męczennik — świata milczeniem,  
I kłamstwo dnia, twardsze niż głaz,  
Będzie mu cięższe niż ziemi brzemień.

dzień, gdy na pełnym tradycji bojowej i chwaly oręża polskiego placu Saskim w Warszawie, maszerować będą po ostatecznym zwycięstwie, odniesionem nad wrogiem, pułki polskie sformowane w głębi Rosji — spod Smoleńska i Lenino, pułki sformowane u boku zachodnich aliantów — bohaterowie spod Narvika, Tobruku i Monte Cassino, defilować będą żołnierze Polski Podziemnej, kontynuatorzy wolnościowych tradycji naszego oręża, kontynuatorzy Tadeusza Kościuszki, Hauke — Bossaka, Bema i Jarosława Dąbrowskiego, nieustraszeni żołnierze A. L., Bataljonów Chłopskich i walczącej części A. K. I w dniu tym, my wszyscy wychowani w trudnych i ciężkich warunkach szkoły A. L. myślną zwrócimy się do człowieka, który nie nosi munduru, człowieka bez szlif i odznak, ukrywającego się pod skromnym pseudonimem „Wiesław“, który w najcięższych warunkach uczył nas jednej prawdy w tej nie mającej sobie równej wojnie: „celem naszym jest swoim wysiłkiem zbrojnym cały naród obrócić przeciw barbarzyństwu najazdowi hitlerowców; prowadzić cały naród polski do świętej dla nas walki z Niemcami“.

Jeszcze jedno: gdy w imieniu odrodzonego Wojska Polskiego wraz z kolegami z A. K. i B. Ch. składaliśmy wieniec na uroczystości odsłonięcia pomnika żołnierza radzieckiego, poległego w walce o Lublin, myśl nasza biegła wówczas do tych skromnych nagrobków rozrzuconych po całym kraju, w Puszczy Jodłowej, w lasach Janowskich i Parczewskich, do nagrobków z nieciosanym krzyżkiem, stojących na nizinie Mazowieckiej, gdzie spoczywają zwłoki poległych w boju naszych kolegów.

Ignacy Narbutt

Ktokolwiek jesteś, podaj mi dłoń

Bracie z masowych grobów,  
Nie, bym oplakał twoją śmierć  
Lub szedł za tobą,  
Ale by słowo me było jak broń,  
Która uderza w ciemność twierdz  
Epoki, co zrównała z wodą ścieków krew  
I zamordowała słowo.

### II

Niech wywodzący z Assyrii swój ród  
Ginie Ormianin, kto wie? — jutro Pers.  
Nienasycony jeszcze miecza głód.  
Głodna jest śmierć.

Owieczna zbrodnia i głupstwo owieczne —  
Czy niewolnicy noża nie widzicie?  
Spadają ciosy szybsze niż powietrze  
Ścinając głowy wam. Teraz milczycie.

Ale już słyszę wasz jutrzejszy krzyk  
Zabaw i krwi i męczeństwa.  
Czy to historia? czy rzymski cyrk?  
Brama tych dziejów — przestrach.

Niech wywodzący z Assyrii swój ród  
Ginie Ormianin, niech umiera Grek.  
Nienasycony jeszcze miecza głód  
I ból i wiek.

### III

Jeżeliś słowa moje czytać zaczął,  
Dokończ. Pisałem je podczas straszliwej  
Wojny, która mi dom zabrała i przyjaciół —  
I wiem: zostaną pozgonny, lecz żywy.

Poznasz mój smutek, lecz wiedz także o tem,  
Żem wierzył w życie, jak wierzę w swą rękę  
Piszącą, mowy władałem obrotem,  
Dla prawdy miałem oczy nieułękłe.

Kiedym spod czołgów pierzchając cień gonil,  
Chmurę spod kopyt wieku Alaryka,  
Masowa śmierć pryskała spod stalowych koni.  
Jak Grek, gdy zwolna do pastwisk nawykał  
Hord barbarzyńskich, był ten, co miał prawo  
Powiedzieć: Jestem człowiekiem. Rozstania  
Był czas i grozy, co się stała jawą.  
Nie bierz mi za złe tego porównania.

Poetą byłem bez imienia.. w powietrzu  
Rzucam ten list, może dopłynię, gniewem  
Chmury niesiony i słonym powiewem,  
Jak żagiel wzdęty przez niepewną przestrzeń  
I poszarpany przez czas, może... nie wiem.  
1944 r.



Z walk o Warszawę. Ustalanie pozycji wyjściowych dla czołgów

Fot. Wł. Forbert



# Spotkanie ze Stefanem Jaraczem

W ciągu tych lat dręczyło licznych, najliczniej-  
szych pytanie: co też z Jaraczem? czy żyje? czy  
ocalał? jeśli ocalał, to w jaki sposób?

I cóż za ulga: można siedzieć naprzeciwko Ste-  
fana Jaracza, rozmawiać z nim, przyglądać się  
twarzy, na której widoczne są głębokie ślady  
przeżyć, słuchać cichego, zrywającego się jeszcze  
czasem, poderwanego chorobą płuc, głosu, łowią-  
cego migające w oczach, w brązowych źrenicach,  
błyski, odbłaski jakiegos o ognia.

Wrzesień zastał Stefana Jaracza, dyrektora  
teatru „Ateneum“, w Warszawie, 5-tego przenosi  
się do Lublina, gdzie znów przeżywa wszystkie  
noloty, wrzesień wkroczenie Niemców.

Jaracz myśli o tem, żeby grać. Za wszelką cenę  
grać, uratować choć na krótko polskie słowo  
teatralne. W Teatrze Miejskim w Lublinie, przy-  
udziale aktorów z miejscowego zespołu, oraz St.  
Jaracza i St. Daniłowicza, w październiku wystawia  
się „Lekkomyślną siostrę“ Perzyńskiego, „Majstra  
i czeladnika“ Korzeniowskiego. „Majstra“ po  
trzech przedstawieniach Niemcy zawiesili. Odtąd  
Teatr Miejski w Lublinie zamienia się w niemiecki  
Stadttheater. Niema tu co dalej przebywać. W po-  
czątkach listopada Jaracz wraca do Warszawy.  
Składa podanie z prośbą o pozwolenie na otwar-  
cie teatru. Byłoby kłamstwem powiedzieć, że hit-  
lerowcy odmówili. Poprostu, podanie pozostawiono  
bez odpowiedzi. W „Ateneum“ rozlokował się  
Kleines Theater der Stadt Warschau.

Przychodzi zima 1940 roku, bez opału, w opła-  
kanych warunkach mieszkaniowych, z głodem, z  
tęsknotą po teatrze polskim.

Jaracz do marca 1940 roku jest — sam nie wie,  
jak to bliżej określić — w najlepszym wypadku  
czemś w rodzaju maitre d' hotel w Café Clubie.

W marcu 1941 roku patrioci wykonują wyrok  
śmierci na Igo Symie, volksdeutschu i prowoka-  
torze, mającym m. in. w swoim dorobku film w  
języku polskim zohydzający Polskę.

W odwecie — Niemcy biorą 70-ciu zakładników  
„aż do wyjaśnienia sprawy“. Podejrzanie pada na  
Damięckiego, któremu udaje się skryć. Aresztują  
wtedy gestapowcy 12 polskich aktorów i aktorek.  
Między aktorami znalazł się Stefan Jaracz, Leon  
Schiller, Zbyszko Sawan, Kański, Warnecki, mię-  
dzy aktorkami — córka Jaracza, Anna.

Po sześciu dniach Pawiaka, 6 kwietnia, aresztan-  
ci już znajdują się w jednym z olbrzymich trans-  
portów do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

Jak tam było?... Pada rzeczownik: infernum,  
piekło. Pada przymiotnik: normalnie, t. zn. tak,  
jak bywało i jest w najstraszliwszych niemieckich  
obozach koncentracyjnych.

Nareszcie, nocą, otworzono zaryglowane wago-  
ny, w których nie było niczego, prócz duszącego  
zaduchu, sprasowania ludzi w ciasnocie, głodu i  
pragnienia, przede wszystkim — pragnienia wody.

Ludzie odrazu znaleźli się między szeregami  
gestapowskiego kordonu, uzbrojonego w pałki, ka-  
rabiny maszynowe, reflektory, „rozpylacze“. Dro-  
ga między szeregami, to bicie, kopanie, rozstrze-  
liwanie na miejscu, podawanie sobie nieszczęsnym  
z buta pod but, z pałki pod pałkę. Wreszcie — sie-  
lanka: olbrzymia, biała wylakierowana, miła oku  
brama z napisem „Arbeit macht frei“.

To — Oświęcim, zawierający w sobie wszystko,  
co może składać się na wyrafinowane okrucień-  
stwo, tępe barbarzyństwo, rozwściekloną niena-  
wiść.

Reklamowana w napisie na bramie praca?  
Owszem. Ale bezcelowa. Sport dla sportu, praca  
dla pracy.

Przy czyszczeniu ziemniaków spotykali się: Ja-  
racz, poseł Norbert Barlicki, sędziwy ksiądz Czet-  
wertyński, szewc z Nowego Targu, dr. Putek i  
tramwajarz z Warszawy. Skrobiając ziemniaki roz-  
mawiali przeważnie nad zagadnieniami... mądrość  
czy męstwo? Oczywiście, jeśli nie było bardziej  
„dotkliwych“ zagadnień. Nieraz staruszek ks.  
Czetwertyński kurczył się z bólu.

— Co księciu jest? — pytał Barlicki.  
— Ten cham znów dzisiaj kopnął mnie w  
brzuch.

Od kopania w brzuch był specjalista obozowy.  
Po pięciu tygodniach Stefana Jaracza zwolniono.  
Dano nawet bilet do Warszawy. I tu w pociągu —  
jak mówi jeden z największych ludzi teatru pol-  
skiego — nerwy puściły.

Tych pięciu tygodni starczyło, aby zniszczyć  
człowieka jeśli nie na zawsze, to na długo. Jaracz  
poczuł, że w płucach rozpalili się gwałtowny proces  
gruźlicy. Sanatorium w Świdrze, potem w Otwo-  
cku. Ostatnio zdrowie polepsza się, ale powoli.  
Radość z wolności zatrauwa troska o Warszawę,  
o rodzinę, o bliskich.

Przecież nie mogła rozmowa przyjąć innego  
obrotu: Jaracz nagle uśmiecha się najlepszym ze  
swoich dobrych, mądrych uśmiechów, zaczyna  
oszczędnie gestykulować, mówi patrząc przymru-  
żonymi oczami gdzieś przed siebie, poza bluszcze  
werandy, myśląc nie o rozmówcy, ale o teatrze.  
Stefan Jaracz unosi się, zapala: teatr... jakim ma  
być... jak go sobie wyobraża...

Dwa — według Stefana Jaracza — można wy-  
tłonić typy teatru europejskiego: francuski i rosyjski.  
Teatr pokazywania, zewnętrznego gestu, bezpo-  
średniego zwracania się do publiczności, finezji,  
doskonałości słowa, dykcji i — teatr przeżywania,

teatr „od wnętrza“, teatr prawdy psychologicz-  
nej.

Na tle tych dwóch typów próby syntezy, wy-  
kryształowania obu typów w jeden.

W „Ateneum“ te próby właśnie patronowały  
poczynaniom Stefana Jaracza i jego zespołu. Uda-  
wało się to zwłaszcza z repertuarem Moljera.  
W „Chorym z urojenia“, w „Szkoła żon“ i w  
„Świętoszku“. Udawało się także odrodzić Fredrę  
w „Zemście“, w „Panu Geldhacie“, w „Damach  
i huzarach“.

Rozmowa o teatrze każe wygrzebać artyście  
z pamięci rok 1916. Jaracz znalazł się wówczas w  
Moskwie, gdzie Szyfman zorganizował 6-o tygo-  
dniowy sezon teatru polskiego dla licznej podówczas  
tam polskiej publiczności. Wielką „chwilą teatral-  
ną“, chwilą dziwną i osobliwą był wieczór ku czci  
Mickiewicza. Przemawiał Miciński. W programie  
była „Dziadów“ część III, deklamacje i insceni-  
zacja litanji z „Książę pielgrzymstwa“. Osterwa,  
jako ksiądz Piotr, czytał litanję, chór odpowiadał.  
I stało się: w pewnym momencie widownia  
wstała i zaczęła płakać. Osterwa, hamując wzru-  
szenie, ledwie doczytał. Jakies maksymalne natę-  
żenie kontaktu widowni ze sceną. Połączenie się  
widowni ze sceną w nabożeństwie, w ekspiacji, w  
misterjum.

Po twarzy Jaracza przemycają światła i cienie,  
rysy stygną na chwilę w szczególnym skupieniu:  
czy nie jest ideałem teatr grecki, teatr pomyślany  
jako katharsis, teatr, do którego publiczność przy-  
chodzi po jakieś oczyszczenie... Znowu można roz-  
mawiać spokojnie: teatr jest organizmem żywym,  
nurtują go poszukiwania i próby, różne fazy wy-

rażania scenicznego, różne sukcesy poszczególnych  
sztuk lub ich fragmentów. Padają nazwy,  
nazwiska. Reduta, Ateneum, Osterwa, Schiller.  
Wielkie wyniki osiągnięte przez teatr rosyjski,  
zwłaszcza wywodzący się od Stanisławskiego, po-  
przez etapy, sygnowane takimi nazwiskami jak  
Tairow, Wachtangow, Meyerhold.

W Polsce, w ciągu 20 lat sytuacja nigdy nie by-  
ła pomyślna. Rzemięto średniego aktora stało na  
niskim poziomie, sytuacja materialna teatru na  
jeszcze niższym. Wyjątkiem — może jeszcze War-  
szawa.

Dziś należy z miejsca sprawę postawić po inne-  
mu. Koniecznością — stworzenie wielkiego stu-  
dium eksperymentalnego, a także — Instytutu  
Teatralnego, posyłanie młodych aktorów zagranicę.  
Talent musi być stale pogłębiany przez wy-  
tężoną pracę, uczciwą pracę wewnętrzną. Narybku  
młodego w tej chwili niema. Być może, poten-  
cjalnie tkwią w młodych talenty aktorskie, jednak  
za czasów okupacji nie było możliwości ich kształ-  
towania. Zmniejszono w najokrutniejszy sposób,  
także nasz przedwojenny stan posiadania.

Należy się teatrowi, by odrodzić go, wielką po-  
moc państwa, wyrażająca się przede wszystkim  
w subwencjach. Może słowo „mecenat“ w naj-  
szlachetniejszym, oczywiście, rozumieniu — było  
by tu na miejscu.

Chodzi także o zdobycie sobie nowego widza,  
o udostępnienie teatru masom przez związki za-  
wodowe, przez wycieczki chłopskie w okresie sto-  
sunkowo mniej pracowitym, t. zn. zimowym.

Repertuar powinien dopuszczać wszystko, dając  
najszersze uwzględnienie arcydziełom, a walcząc  
jedynie ze szmirem.

„Wierzę, że tak będzie, że to się zrodzi“ — po  
pewnej pauzie kończy Stefan Jaracz.

Jan Huszcza

## Stefan Jaracz

Stefan Jaracz urodził się 24. XII. 1883 r. w  
Zukowicach Starych pod Tarnowem, gdzie ojciec  
jego był nauczycielem wiejskim. Dzieciństwo aż  
do 10 roku życia spędził w Krzyżu pod Tarno-  
wem. Z gimnazjum w Tarnowie „wylany“, jak  
sam powiada, w którejś tam niższej klasie za  
robotę socjalistyczną w organizacji i „Promieni-  
stych“, przenosi się na krótki pobyt do Jasła,  
wreszcie do Bochni, gdzie zdaje maturę w 1902 r.  
Wyjeżdża następnie do Krakowa na uniwersy-  
tet. Pracując zarobkowo, jako korektor w „Na-  
prz-dzie“, zapisuje się kolejno na różne wydzia-  
ły: prawa, przyrody, historii, literatury i sztuki.  
Star: zżycie wszystkich młodych ludzi, poszuku-  
jących namiętnie właściwego powołania. Znalazł

je wreszcie, ale nie na wydziale uniwersyteckim.  
Wstępnie do teatru ludowego kierowanego przez  
Kazimierza Cebrylskiego, jako adept sztuk tea-  
tralnej.

Tak się zaczęło, a potem już normalne koleje  
losu wszystkich artystów: wędrowki z miasta  
do miasta, z teatru do teatru. Dwa lata pracuje  
Jaracz w Warszawie w Teatrze Polskim pod  
dyrekcją Zygmunta Rygiere. Po jednorocznej słu-  
żbie w wojsku austriackim angażuje się w 1908  
w Łodzi do teatru pod dyrekcją Aleksandra Zel-  
werowicza. Zelwerowicz uważa go za bardzo  
zdolnego aktora i Jaracz gra w dużej ilości naj-  
rozmaitszych ról od „Szczęścia Frania“ Perzyń-  
skiego aż do „Ryszarda III“ Szekspira. Po trzech

latach pobytu w Łodzi zostaje zaproszony do  
Warszawy na występy w „Bogu wojny“ Nowa-  
czyńskiego w roli Napoleona. Pierwsze wielkie  
niepowodzenie: koledy traktują go zlekka po-  
gardliwie, prasa jednogłośnie nieprzychylnie. Ja-  
racz wie już dziś, co było przyczyną niepowo-  
dzenia i jego analiza jest ciekawa bądź jako po-  
czątek późniejszych koncepcji teatru, bądź ja-  
ko argument na ich poparcie. Zawinił zespół, któ-  
ry niechętnie i wyniosłe przyjął prowincjonalne-  
go kolegę. W atmosferze lekceważenia i wynio-  
słości współgrających nie udało się właściwie u-  
wypuklić postaci dumnego i władczygo cesarza.  
W tej atmosferze wypadłoby dobrze „Szczęście  
Frania“ — smutnego, sponiewieranego. Subtelny  
klimat kontaktów psychicznych przy naturalnej  
nadwrażliwości aktora wymaga wielkiej pracy  
nad zespołem jako grupą społeczną, jako orga-  
nicznie ze sobą powiązaną całością. Ten pro-  
blem przede wszystkim dostrzegł Jaracz później  
u Stanisławskiego, nad nim będzie pracował w  
swoim własnym teatrze.

Niezrażony niepowodzeniem Jaracza Kazimierz  
Zalewski, dyrektor Małego Teatru (prywatnego)  
angażuje go i następnego już roku gra Jaracz tę  
samą rolę Napoleona w zupełnie innych warun-  
kach i sukces był zupełny. W roku 1913 angażuje  
się Jaracz do nowopowstałego i kierowanego przez  
Szyfmana Teatru Polskiego, gdzie do wojny 1915  
roku gra: „George'a Dandin“, Kalibana w  
„Burzy“ Szekspira, w „Sprawiedliwości“ Gal-  
sworthy'ego. W 1915 roku wydalony z Warsza-  
wy jako austriacki poddany wyjeżdża do Rosji  
i tu spotyka się z teatrem Stanisławskiego, który  
wywarł na nim głębokie wrażenie. Jaracz uważa  
go za epokę w historii teatru, a teoretyczne po-  
głębienie sztuki aktorskiej przez Stanisławskiego  
za podstawę wszystkich późniejszych koncepcji  
i choćby tak krańcowo różnych, jak teatr Meyer-  
holda, Tairowa, czy Wachtangowa. Stanisławski  
wprowadził u siebie specjalne metody pracy,  
które miały ułatwić wzajemne kontakty, stwo-  
rzyć więź tworzącą z zespołu harmonijnie funkcyj-  
nującą całość. Aktora jako indywidualność i ze-  
spół jako grupę łączyła taka współzależność, któ-  
ra dawała aktorowi możliwości pełnego wyrazu  
i równocześnie utrzymywała go w ścisłym kontak-  
cie psychicznym z całością zespołu.

W Rosji wydarzył się wypadek, który wpłynął  
na jego poglądy na rolę teatru. Nawiazując do  
teatru greckiego Jaracz wyznacza sztuce tea-  
tralnej wzniosłą rolę w życiu społeczeństwa. W  
koncepcji Jaracza teatr przestaje być rozrywką,  
staje się posłannictwem: wstrząsnąć człowiekiem,  
oczyszczyć go przez oddziaływanie sztuki, nauczyć  
go przez ukazanie w artystycznej formie skom-  
plikowanej problematyki życiowej. Może dlate-  
go właśnie teatr Jaracza był jedynym, obok in-  
scenizacji Schillera, społecznym teatrem w Pol-  
sce. Nikt subtelniej i bardziej wyraziście nie  
przedstawił tragicznie banalnej problematyki szar-  
ego człowieka w Polsce, zmagającego się z kry-  
zysem gospodarczym i moralnym, jak właśnie Ja-  
racz w „Ludziach na krze“.

Po powrocie do kraju w roku 1918 wstępnie  
znowu Jaracz do teatru Szyfmana. Wtedy już ma  
sprecyzowane poglądy. Ale nie może znaleźć  
miejsca dla ich realizacji. Przechodzi od Szyf-  
mana do „Reduty“, gdzie osiąga szczyt rozwoju  
artystycznego w „Judaszu“ Tetmajera, z Oster-  
wą do Teatru Narodowego, potem do Wilna,  
potem znów do Szyfmana. Zawiedziony w swo-  
ich nadziejach, wpada w rozpacz i usiłuje popeł-  
nić samobójstwo.

Otrzymałszy dymisję z Teatru Narodowego jako,  
jak sam powiada, „awanturnik nie do zniesienia“,  
z własnym zespołem objeżdża 90 polskich miast  
grając „Szczęście Frania“ Perzyńskiego. Wtedy  
już chciał stworzyć własny teatr i chodziło mu  
o zdobycie funduszy, których jednakże nie zdo-  
był. Poprostu przypadkiem po powrocie z „Re-  
duty“, z Wilna i ponownym uzyskaniu engage-  
ment u Szyfmana, zdobywa ogromne powodzenie  
w niczem się zresztą nie odznaczającym melodra-  
macie amerykańskim „Artyści“. Sztuka idzie sto-  
razy i Jaraczowi udaje się zdobyć pewną kwotę  
na otwarcie własnego teatru „Ateneum“.

I tu historia wielkiego artysty staje się prawie  
symboliczna dla historii teatru niezależnego w  
Polsce przedwojennej. Ciągła męcząca walka z  
trudnościami materialnymi, dziwnie obojętna po-  
stawa władz i TKKT, które nie oddaje Jaraczowi  
ani jednego z 5-ciu przejętych właśnie tea-  
trów, fatalne położenie „Ateneum“ w oddalonej  
dzielnicy, — to wszystko nie ułatwia pracy. Mi-  
mo to teatr rozwija się. Odkryty przez Jaracza  
wielki talent reżyserski — Stanisława Perzanow-  
ska — przyczynia się do tego w dużej mierze.  
Grają Fredrę i Moljera, Zapolską i Bałuckiego.  
Jaracz wie, że gdyby można było złapać trochę  
oddechu, pracować swobodnie i bez trosk ma-  
terjalnych, praca dałaby duże rezultaty. Wielki  
artysta marzy o swojej oczyszczającej sztuce i po-  
słannictwa teatru. Wybucho wojna, a potem O-  
święcim, choroba.

Jaracz siedzi przy stole w redakcji i patrzy da-  
leko gdzieś za okno. Jaracz ma przedziwnie smu-  
tne oczy, nawet wtedy, kiedy się uśmiecha. „Ma-  
rzenie zostało“ — powiada. — „Wierzę, że Pol-  
ska, która powstała na zgłiszczach, da warunki  
rozwoju teatrowi, jako instytucji wychowawczej.  
Co sam będę robił — nie wiem. Jestem inwalidą,  
ale o ile mi zdrowie pozwoli, będę starał się  
w tem dziele uczestniczyć“.



Gen. broni M. Rola-Zymierski w gronie artystów i literatów



Wanda Wasilewska i Stefan Jaracz w Lublinie

Fot. A. Forbert

Marja Fiderer



JACEK BOCHEŃSKI

WOLNA TRYBUNA

# W sprawie popularyzacji literatury

Dużo się obecnie mówi na temat popularyzacji literatury. Postulat ten wysuwany jest przez czynniki miarodajne, omawiają go koła literackie, stał się on poniekąd aktualną kwestją dnia. Utożsamia się ideę upowszechnienia literatury w sferach najszerzych z ideą najdalej pomyślanej demokratyzacji naszego życia państwowo-społecznego, przypisuje tej sprawie cechy pałace, żąda od literatury moralnego użyczenia „dół” w celu podniesienia ich oblicza kulturalno-narodowego do poziomu, jakiby godnie odpowiadał demokratycznej Polsce. Widzi się niemalże rację bytu obecnej, pookupacyjnej literatury w tej dostojnej, apostołskiej misji szerzenia kultury, poczucia estetycznego oraz głębokiej świadomości narodowej i politycznej wśród milionowych rzesz naszego narodu, skrupulatnie pozbawionego przez Niemców wszystkich zdrowych i rodzimych źródeł kulturalnych.

Jak się ta sprawa przedstawia u swych głębszych podstaw i jaką wyda się ona stanowisku samej literatury? Przyznać musimy, że w ciągu ostatnich pięciu lat przeżyliśmy bodajże najdonioślejsze wydarzenia dziejowe od czasu Wędrówki Ludów i że niebawem przeżyjemy jeszcze inne doniosłe fakty. Ludzkość przechodzi przeraźliwy kataklizm dziejowy, poruszający niemal wszystkie narody, rzucający na śmierć miliony ludzi, mobilizujący do najbardziej intensywnego wysiłku rąk i umysłów, setki milionów ludzi. Te setki milionów dają z siebie wszystko, wyrzekają się życia doczesnego i prywatnego i walczą dla przyszłości, ale dotychczas niezawsze i niewszędzie wiedzą, o co. Bezgraniczny trud ludzkości trwa. Jednak tę ludzkość zaczynają nurtować prądy zrozumienia.

Próbuje się dociec przyczyn kataklizmu, zbadać rzeczywiste jego cele, wykryć prawdziwy proces przebiegania dziejowych burz. Myśli się o wysnuciu konsekwencji, odpowiadających narodom, społeczeństwom, ludom. Dostrzega się parszywą rolę tych kół, które doprowadziły do obecnej wojny, które czerpią z wojen najrozmaitsze korzyści, aranżują śmierć mas dla zadośćuczynienia swoim wielorakim egoizmom. I takie prądy rodzą się nie u jednostek wołających na puszczy, ale wśród najszerzych rzesz. Dostrzeganie prawdziwych elementów, które powodują wojnę, albo którym jest ona korzystna lub całkiem obojętna, nigdy może nie było tak powszechne i tak trafne wśród ludzi prostych, jak właśnie dziś. Zrozumienie właściwych przyczyn i zakulisowych zależności politycznych nigdy jeszcze z taką mocą nie dotarło do biernego dawniej ludu. Co przedtem pojmowali w głębokości serc nieliczni, to dziś czuje i wie każdy niemal robotnik, każdy żołnierz, każdy chłop. Jasne stały się główne czynniki, które wtrąciły ludzkość w chaos dzikiego zniszczenia. Pierwszy z nich, to niewyrównany stosunek pomiędzy pracą a kapitałem zaciśniętym w najpodlejszych rękach, używanym do najbardziej zbrodniczych operacji i trzymającym w bolesnej niewoli miliony ludzi. Drugi: nacjonalizm i imperjalizm obdarzony nadzwyczajną markotyczną siłą demagogii. Trzeci: ambicja jednostek, które opętał szal wprowadzenia w życie gigantycznych planów panowania nad światem, skazanych jednak na śmiertelną zagładę. Jakież muszą z tego wyniknąć logiczne następstwa? Wielki, współczesny kataklizm dziejowy musi się zakończyć szeroką demokratyzacją państw i społeczeństw. Jest rzeczą jasną, że faktycznym panem położenia okaże się wreszcie nie klika zbrodniczych jednostek, ale naród.

Czyż po niesłychanych doświadczeniach pięciu lat, które wstrząsnęły do posad wszystkie niemal narody świata, wyda się rzeczą możliwą, aby konstelacja polityków wielce szanownych ministrów spraw zagranicznych siedzących zdawienadawna na wygodnych fotelach, wykombinowała na tych fotelach plan nowego podziału i nowej niewoli świata na lat X, podpisała ten plan między sobą i w spokoju ducha przez X lat na swych fotelach nadal pozostała? Czy możliwe jest, aby narody nie zdobyły sobie prawa decyzji o sobie i swoich losach? Czy możliwy jest absolutny powrót do ekonomicznych, społecznych, narodowościowych stosunków z przed wojny? Już po pierwszej wojnie światowej przewidywane przemiany stały się częściowo faktem, a wydaje się pewne, że teraz przybiorą znacznie poważniejszy i szerszy obrót. Europa powojenna nigdy już nie będzie Europą traktatu wersalskiego nr. 2, gdyż stworzona zostanie przy wybitnym udziale innych i zupełnie nowych czynników. Z tego każdy trzeźwo patrzący na sytuację jasno zdaje sobie sprawę. To jest celem walki nie małego ugrupowania politycznego, ale szerokich rzesz uświadomionych politycznie i ideowo.

Ta ogólna demokratyzacja obejmie w swoim zasięgu niewątpliwie także Polskę. Skończy się era monopolu klas uprzywilejowanych ekonomicznie i kulturalnie, a po ogólnoludzkiej dobrej materjalnej i duchowej sięgnie warstwa dotychczas upośledzona. Nie będą panowie

dyrektorowie, panowie spekulanci, ludzie dziedzicznego kapitału, nieróbstwa i najniższych wartości społecznych i moralnych, wykarmiali się na nędzy i niewoli robotnika czy chłopca. Polska powojenna nie będzie prolongatą zatęchłego sarmatyzmu szlacheckiego pod zmienioną chorągiewką, ale Polską młodą, odświeżoną, uspołecznioną. Polskę tę wykuje cały naród i cały naród zechce narodem godnie pozostać. Demokracja nie będzie pojmowana w znaczeniu jakiejś „złotej wolności” szlachty - braci. Zmieni się system gospodarki narodowej i państwo nasze podejmie długi, mozolny wysiłek w celu zapewnienia dobrobytu chłopów i robotników. Będzie się te warstwy pracą państwa podnosiło do coraz wyższej stopy życiowej, do coraz lepszych warunków materjalnych, do coraz większego uświadomienia kulturalnego. I tu wyłania się problem: literatura demokratyczna, literatura dla człowieka, który będzie się liczył na miliony i który literatury wraz z innymi wartościami kulturalnymi będzie potrzebował. Jakże mała znaczna stanie się literatura zielonego stolika, literatura kawiarniana, ten preparat kaprysu, spleenu snobizmu. Potrzeba będzie takiej literatury, która użyłby najszerze warstwy. Literatura dla moralną pożywkę całemu społeczeństwu, będzie duchową witaminą narodu, będzie czynnikiem docierającym wszędzie i doskonalącym człowieczeństwo. Literatura musi stać się nieoficjalną szkołą etyczną społeczeństwa, musi je z padołów doprowadzić do wyżyn. Po pięciu czy więcej latach dzikiej rzezi, po straszonym terrorze, po wyzuciu się z wszelkich ludzkich zasad w życiu socjalnym, czy to wobec innych narodowości czy wobec własnych rodaków, trzeba będzie szczerpieć między ludźmi pewien rodzaj — że tak powiem — idealizmu, trzeba będzie wskrzeszać i rozwijać elementy humanitaryzmu w najrozleglejszym znaczeniu, etyki jako probierza czynów, pracy duchowej, jako czynnika uszlachetniającego, pewnej wreszcie estetyki życiowej, jako sprawdzianu. Tylko podniesieniem poziomu duchowego mas doprowadzić możemy do tego, aby naród zrozumiał, że np. wymordowanie milionów Żydów na terytorjum Polski nie jest niczym dobrem, albo że problemu ukraińskiego nie można rozwiązywać wyrznięciem ukraińskiej ludności. A przecież takie poglądy, takie odruchy zwierzęcej nienawiści i bestjalckiego instynktu są całkiem częste — pod wpływem Niemców także u Polaków. Mówimy z naiwną szczerością, że ludzi trzeba zrobić lepszymi, szlachetniejszymi, poprostu uczciwymi. Tem ma się zająć literatura, w pierwszym może rzędzie poezja.

Szkoła musi równocześnie przygotować literaturze czytelnika. Bo jakkolwiek dążymy do ułatwienia przyswajalności produktów literackich przez jak najdalej posuniętą prostotę, to jednak literatura pozostaje sobą i jest dalszym ciągiem literatury wieków wraz z jej osiągnięciami. Podniesienie duchowe społeczeństwa nie może nastąpić i nie nastąpiłoby nigdy

drogą t. zw. „równania w dół”. Popularyzacja nie może nastąpić i nie nastąpiłaby nigdy drogą t. zw. „równania w dół”. Popularyzacja literatury przez dostosowanie się do niskiego poziomu umysłowego ewentualnych czytelników niczym dobrem nie będzie. Można dawać im łatwą, dorywczo potrzebną, nawet aktualną treść, ale trzeba ich nauczyć wycucia prawdziwych wartości estetycznych. Literatura musi się o najwyższy poziom starać. Szkoła jako „współczynnik uszlachetnienia duchowego” powinna być demokratyczna, ale poziom powinna mieć wysoki. Pierwszym programem władz szkolnych, które zdecydowanie stoją za należytych poziomem nauczania (i to nawet w stosunku do szkolnych rozbitków wojennych) należy więc z całym uznaniem przyklasnąć. Pamiętajmy, że zwulgaryzowanie piśmiennictwa społeczeństwu wartości trwałych nie przyniesie, a literaturze poważnie zaszkodzi.

Niemcy, którzy szczyłi się jedną z najwspanialszych literatur świata, za czasów Hitlera, pod partyjnym pręgiem przymusu treści i formy, w ramie „idealów” sztuki, wyznaczonych przez nieomylnego „Führera” („jasność”, „rozumiałość” i t. p.), wytworzyli zdegenerowanego potworka literatury o znaczeniu płatnego rzemiosła. O takiej próbie stotalizowania sztuki trzeba pamiętać. To też w Polsce demokratycznej twórca nie będzie kępował dobrem treści i jakością formy. Twórca sam intuicją artystyczną wyczuje, jakiej tematyki, jakiego stylu, jakiego wysłowienia rzeszom czytelniczym potrzeba.

Jak literatura zagadnienie to rozwiąże i o ile jest ona do podjęcia tego zadania zdolna i przygotowana? Uprzytomnijmy sobie, że od lat około stu, od zagaśnięcia wczesnego romantyzmu, a bodajże nawet od schyłku epoki stanisławowskiej literaturze polskiej dolega brak czytelnika. W pewnych okresach brak ten był mniej poważny, czasem niemal zanikał, ale później znowu dotkliwie dawał poetom i pisarzom o sobie znać. Literaturze daleko było od narodu i naród nie czuł konieczności asymilowania jej. Powstawały postacie najwybitniejsze, jednostki genialne, ale w trudzie samotnictwa i odosobnienia kroczące przez niwę życia literackiego. Szerzył się umęczony, niesłychanie szlachetny, ale bezbrzeżnie tragiczny w swej istocie norwidyizm. Przerzywały ten proces różnorakie wysiłki Mickiewicza, Krasińskiego, Leńartowicza, Sienkiewicza aż po naszą literaturę 1918 — 1939. Wraz z usunięciem pięcioletniej niewoli zrodzi się chęć szerokiego wypowiedzenia, przyjdzie pragnienie likwidacji poetyckich konfliktów życiowych, powstanie pewien optymizm literacki. Sama literatura w sercach poetów i prozaików odczuje potrzebę odrodzenia. Sama literatura zechce się odświeżyć. Powtórzy się mickiewiczowski popęd ku owym „pieniom gminnym”, poezja zorjentuje się, że jest chora na tematycznie-formalną awitaminoszę i że dłużej żyć jej preparatami kawiarnianymi nie sposób. Takimi drogami

pójdzie nade wszystko młoda generacja poetycka. Poeta, przedwojenny oderwaniec, w czasie okupacji pozbawiony głosu, teraz poszuka słuchacza w narodzie, w społeczeństwie, w masie. Wydaje mi się, że popularyzacja rozpatrywana ze stanowiska literatury ma liczne, bardzo żywe i poważne dane do starcia się rzeczywistością. Literatura w dzisiejszej dobie popularyzacji chce i wymaga.

Ta popularyzacja, to podsycając żywotności i żywotności pisanego słowa może się dla literatury tylko zbawienne okazać. Cała literatura, jakkolwiek to, co obdarzymy w tej chwili ogólnym mianem literatury, stosuje się przedewszystkiem do poezji, cała właśnie literatura, czy to powieść, czy poezja, czy jakabądź inna forma, doszła już przed wojną do stadium, które domagało się swoistej ewolucji, które wołało o rychłe uproszczenie stylu, o jak najszybsze uszlachetnienie widnokręgów tematycznych, o eksploatację dziewiczych, nie budzących narazie zainteresowania terenów treściowych. W dyskusjach i rozważaniach na temat ewentualnej „literatury przyszłości” nieraz padało zdanie, że będzie to przedewszystkiem literatura prostoty, literatura piękności klasycznej, literatura wartości moralnych. Dzieje polityczne przyspieszyły bieg dziejów literatury. Przewrót dokona się w naszych oczach. Piśmiennictwo nie pójdzie już za grzymsą mody. Zniknie poezja sezonowa. Nowej, nie wyzyskanej treści nikomu chyba teraz po pięciu latach apokaliptycznej epopei nie zabraknie. Historję klęski narodu, historję niewoli i tajnego buntu narodowego, nowe prądy polityczno-społeczne, plan budowy przyszłości polskiej — wyczerpująco będzie można użytkować. Pamiętniki, biografje, opisy tułaczki — oto dalsze dzieła, które powinny buchnąć na widownię po „zerwaniu ojczyźnie kajdanów”. Ulica, wieś, świat pracy i codziennego życia — tematyka stała jeszcze np. w poezji słabo i nienowocześnie wyzyskana.

A forma? Forma nie powinna dogadzać gorączkowym snom teoretyków modernizmu, ale stosować się do wymagań czytelnika i do kryterjów prawdziwego piękna. Uprościć formę niemal jak najbardziej, wykonać wielki przeciwochod literatury w stosunku do wybujałego formalizmu z przed wojny, oczyścić i wydoskonalic styl. Bardziej kochać polszczyznę, zachwaszczoną i zmaltretowaną niedbalstwem stylistycznym naszych pisarzy, ożywić język, sięgnąć do jego krynic, do gwar, do zażytków staropolskiej mowy.

Dokonywać zatem reformy. Przypomnijmy słowa wypowiedziane przez najwzmożonego naszego poetę o literaturze aleksandryjskiej: „Poezja, która była niegdyś potrzebą narodową, przeszła w zabawę erudyty lub próżniaków”. Pozbawimy naszą poezję charakteru scholastyki estetycznej, rozwikłującej teoretycznie i eksperymentalnie najzawilsze i mało istotne problemy i kwestje, odbierzemy literaturze monopol bawienia klienteli pensjonatów uzdrowiskowych.

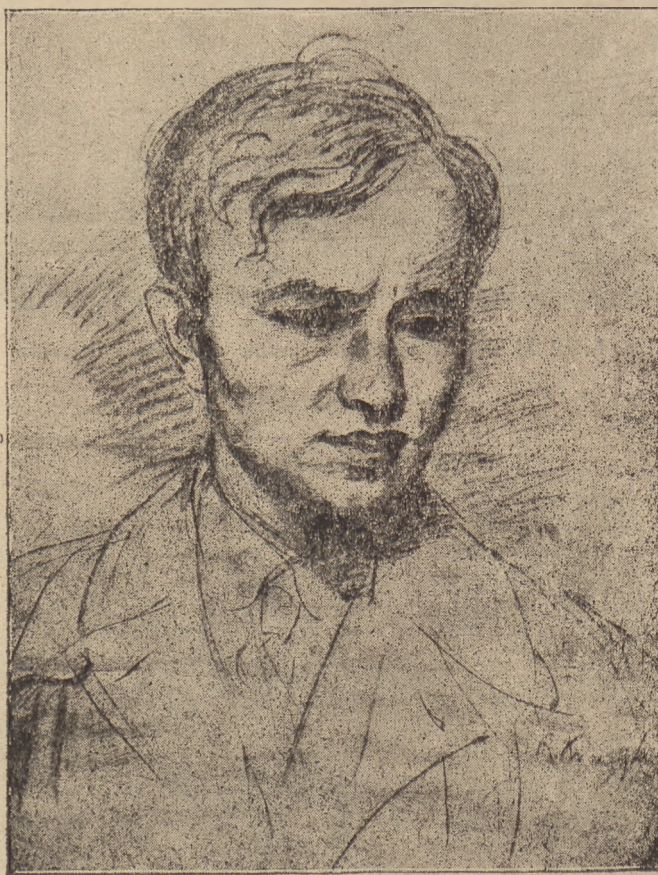
Do duszy demokratycznego społeczeństwa musimy dotrzeć słowem wysoce wartościowym, natchnionem, a pełnym prostoty i zdrowego estetyzmu. Wszystkie prawdziwe zdobycze literatury świata musimy zachować i wyzyskać. Nie uronić nic z dorobku wieków. Wysiłkiem pełnym poświęcenia i miłości wychować nowe kadry czytelnicze, wychować ludzi o godnym poziomie duchowym, umysłowym i moralnym. Niech to będą dzieci naszej odrodzonej kultury, niech będzie to nowe, młode, zdrowe pokolenie.

Pisał kiedyś Horacy słowa obrażone brakiem należnego czytelnika, słowa zgębnione brudem moralnym i duchowym otoczenia, słowa tęskniące do słuchacza odrodzonego, nie-zepsutego, wprost dziecięcego:

*Odi profanum vulgus et arceo.  
Favete linguis. Carmina non prius audita  
Musarum sacerdos virginibus puerisque canto.*

(Nienawidzę tłumu, co stoi poza świątynią, i bronię mu do siebie przystępu. Sprzyjać mi zbożnym milczeniem! Otom kapłan Muz: nie słyszane dawniej pieśni dziewczom i młodziankom śpiewam).

Te dwutysięcletnie słowa, napozór pełne arystokratyzmu artystycznego, uważałem właśnie zawsze za marzenie o nowym i lepszym czytelniku. W zaprzeczeniu — afirmacja. Dziwne są drogi poezji, dziwne będą drogi popularyzacji. Otóż radziłbym ten horacjański wiersz przyjąć niejednemu poecie za motto utworów popularyzujących. Niechby poezja tego zachowała należne dostojność, niechby wychowała duchowych „pueri” i „virgines”, jako zastępy nowego, narodowego czytelnictwa. Bo nowa poezja ma misję bardzo szczerą. O tem niech w pierwszym rzędzie czołówka młodych naszych poetów, którym przypadnie zaszczyt uspołecznienia poezji, pamięta.



Józef Henryk Czechowicz urodził się w Lublinie, dnia 15 marca 1903 r. Śmierć znalazł również w Lublinie, podczas bombardowania miasta przez Niemców w sobotę, 9 września 1939 r. Zginął około godziny 9-ej pod gruzami domu przy ul. Krakowskie Przedmieście 46. Dom trafiony bombą spłonął. Zwłoki poety spod gruzów wydobyto dopiero po paru tygodniach. Przewieziono je na cmentarz prawosławny przy ul. Lipowej,

gdzie dotychczas spoczywają we wspólnej mogi-  
le ofiar tragicznej soboty.

Roman Kramsztyk wykonał w r. 1930 w Paryżu portret Czechowicza. Jest to rysunek sanguiną na białym, węglowym papierze francuskim w formacie 416×526 cm. Poeta cenil bardzo ten portret, zamówił jego reprodukcję w cynkografii dla przyjaciół, kłiszę zaś oddał w moje ręce z tragiczną uwagą „do nekrologu”.

Wiktor Ziółkowski



JERZY PUTRAMENT

## Karabin

Chłopcze, śpiący przy drodze pod świerkową wiechą,  
kogo ujrzałeś we śnie, komu się uśmiechasz?

Świt uwalany w glinie czołga się po rzysskach.  
Nie dzisiaj zająst twoja radość i nie bliska.

Z karabinem pod pachą, z plecakiem pod głową  
śpisz i widzisz krajinę różnokolorową.

Ziemia z mgłą się wynurza, zziębła i zrudziła,  
za dalekim pogórem mruczą ciężkie działa.

A ty spieszysz ty widzisz już powróci dom swój,  
złocenie wybajale, georginij pąsy,

szkołę pod kaszanami, zaułek i kościół,  
dziewczynę, półochaną dzieciną miłością,

urwisa — przyjaciela, miłszego nad brata,  
swoją młodość, umarłą temu cztery lata.

W twej wiernej, ogniotrwalej pamięci ukryta  
wraca przeszłość ciebie uśmiechami wita.

A ty ją, w zachwyceniu, rękami obiema  
chcesz do serca przyciągnąć. Chłopcze, zbudź się. Niema.

Niema, niema twój domu. Niema miasta.  
Niema tamtej dziewczyny. Niema przyjaciela.

Powycinano drzewa. Popiołom i chwastom  
oddane są ulice. W zburzonym kościele

rzeźbi rude żelastwo. Ze szkoły rozbitej  
komin sterczy, ak szkielet. Garść gorzkiego prochu

została ci z przeszłości. O bliskich nie pytaj,  
bodajbyś ich nie potkał. Z tego, coś ukochał,

niema nic. Zapamiętaj. Niema nic. Jest tylko  
karabin. który bliżej do piersi. I to twój

przewodnik i przyjaciel jedyny. Niech milkną  
łatwowieczne namiętności. Chłopcze, serce gotuj

na cierpką dosyć zemsty, nie na jasną radość.  
Mroczne słońce przez krzaki zaczyna się skradać.

Chmury ruszyły z miejsca i na zachód płyną.  
Uważnie otrzyj rosy zamek karabinu.

Październik 1943

JÓZEF SIGALIN

## Obraz Lucjana

Charków, sierpień 1941. Ciężkie dni odwrotu Armii Czerwonej. W mieście ruch: przygotowania do obrony, masowa ewakuacja fabryk, robotników, kobiet, uczonych, dzieci. Ludzie ze stroskanymi twarzami, oczy zapuchnięte od całonocnego czuwania na dachach domów, po całodziennych pracach w fabrykach. I naraz twarz pogodna, oczy żywe. Cała postać pełna energii, ruchu.

„Lucjan!”  
Szeregowy „krasnoarmiejec”  
konuje w tył zwrot.

„Lucjan!”  
„Tak, to ja.”  
I prosty, serdeczny uśmiech (Gdy uśmiechał się, nazywaliśmy go „Kozłaczek w pełni”). „Słyszałeś? Sikorski, umowa, Armia Polska, razem z Czerwoną, wkręca na front...” Spoważniał. Zamyślił się.

„No to niech się organizuje To dobrze. Ja tymczasem jeszcze tu zostanę dosłuszuję na froncie. Służę w reflektorach przeciwlotniczych. Co noc prawie strącam kilka samolotów; wiesz, kiedy złapię w ręce reflektorów Messerschmidta, kiedy nie może oderwać się od światła jak ćma...”

Lucjan gorąco opowiada o najdrobniejszych szczegółach technicznych swojej pracy wojskowej. Właśnie — pracy. Tak, do służby na froncie odnosi.

„A piszesz?”  
„Mało, i wiesz — zupełnie inaczej, niż dawniej. Inaczej widzę.”

Spiesz się, musi iść. Za pół godziny ma się stawić w koszarach. Dziś w nocy jada na pozycję, jego dywizjon bronii Charkowa. Szybko oddala się, stąpa mocno, krótkim akcentuje swoją twardość, tak sprzecznym z wrodzoną łagodnością.

Zołnierskie buciory, owijające krasnoarmiejską „fufajkę”.  
Jeszcze raz ogląda się, salutuje.

stocie Sybiraków odnajdował serdeczność i głęboko ludzką szczerłość.

W czerwcu 1943 jedzie na ochotnika do Kościuszkowskiej Dywizji.

Pisze „Pożegnanie z Syberją”.  
Gdy „ciepluszka”, w której jechał kilka tygodni, zbliżała się do Diwowa, opodal miejsca formowania Dywizji, Lucjan kończył ostatnią strofę wiersza o Józefie Nadziei wstępującym do Polskiego Wojska.

Wśród sosen nad Oką poezji nie trzeba było szukać. Przesiąknięte nią było powietrze. Z oficerem inspekcyjnym chodziła od namiotu do namiotu. Była w życiu i w pieśni obozu.

Lucjan nie spał. Przejęty udziałem w tem niezwykle misterjum rodzenia się Wojska Polskiego, powtarzał: „Szkoda czasu, spójrzcie dokoła, przecież tutaj żal minuty uronić”.

Lucjan odmłodził, entuzjazmuje się jak sześcioklasista. Poślano go do służby w żandarmerji. Spodobało mu się: „To świetna służba. My — „kanarki” — to stróżki dyscypliny. Czarkowski ich szkoli, a ja mu pomagam i porządek robię w głowach. Demokratyczny „kanarek” — rozumiesz?”

Posłali go do służby w kompanji rusznicy. Też mu się spodobało: „To świetna służba. Rusznica — najwspanialsza broń. Chłopcy — jak ta lala”. Kiedykolwiek i gdziekolwiek spotkał Lucjana — wiadomo — będzie mówił o rusznicy. Ciągnie do składu broni, wyjmując ze stoja: „Patrz, jaka prosta konstrukcja, jak celnie bije, na sto metrów przebija pancierz pięćdziesięcimilimetrowy!”

Chodzi z żołnierzami na wszystkie ćwiczenia. Układa dla nich piosenki o „rusznicy-sójuszniczy”. „Rusznica — najsukuteczniejsza broń demokracji. Moje chłopaki już to wiedzą”. Lucjan promienieje, gdy to mówi.

Posłali go do służby w batalionie sanitarnym. I to mu się spodobało. „To piękna rzecz — mówić — organizacja ewakuacji rannych, przewracanie do życia”.

Tęczał wprawdzie za rusznicami. Wieczorami wadał do swojej wiernej kompanji. Tam czuł się najlepiej.

LUCJAN SZENWALD

## Elegja na śmierć Mieczysława Kalinowskiego

I

Żołnierz swej matce-ziemi oddał krew czerwoną,  
Przypadł do matki-ziemi piersią wyszczerbioną.

Mężny bojownik przyjął śmierci pocalunek,  
Spod kurtki wydobyto skrwawiony meldunek.

Mieczysław Kalinowski poległ!  
[W ów dzień sławy  
Padł — i wróciło jego serce do Warszawy.

II

Marzyły mu się jasne strzeliste budowy,  
Wykwitające ponad ligustr ogrodowy,  
Gdzie na każdym zakręcie wesoła zasadzka,  
Gdzie w liściach, niby źródło ujrzałe zniacka  
Srebrzy się śmiech dziecięcy. Śniły mu się place,  
Pączkujące głowami, szumiące wzruszeniem,  
I szklane hale, lotne bramy, szczerne prace,  
Różowe sanatoria, otulone cieniem,  
I w dzwony zasłuchana wielkooka szkoła,  
I teatr, co zadumę wypukła czoła...  
Sloneczne śniły mu się spawy — ale krata,  
Czarna krata przemocy przed twarzą widziadła  
Wyszczczona jak upiór, chciwością zębata —  
Gdy uderzył w nią ogniem marzeń — nie opadła,  
Tylko zgrzytnęła glucho.

Nie miał daru słowa,  
Ale to, co powiedział, zadźwięczało w ciszy.  
On całe swoje życie przemyśla odnowa,  
On dojrzewa, on myślą widzi, sercem słyszy,  
On postanawia, on z tej drogi nie zawróci.  
Wszędzie są ludzie bici, gnębieni i szczeni,  
Wszędzie człowiek przed słabszym człowiekiem

[ucieka,  
Wszędzie upokorzone jest imię Człowieka,  
Spodłone imię Pracy, shańbione — Miłości,  
Wszędzie Chytrność do władzy prawo sobie rości,  
Wszędzie Potęga drzemie, siebie nieświadoma,  
I lamentuje rozpacz językami stoma.

Ale na wstęde dzieciów, w przeszłość rozpawitej,  
Są napisy, których nóż fałszerza nie zdejmie!  
Niezapomniane lata, kiedy w polskim sejmie  
Szara sukmana obok delji złotolitej  
Radziła o naprawie Rzeczypospolitej.  
Syn szewca, komunista — on miał w rodowodzie  
Kilińskich! I w walecznej narodu przeszłości  
Szukał zadatków nowej i świetnej przyszłości.  
Radował go zwycięski lud-obrzym na wschodzie,  
Co poznał swoją drogę. On widział zaczyny  
Świata nowego w Związku Rad: sękata bryła  
Gwiazdzisty plan kryształ z siebie wyskrzyła,  
A na niej drżały nawpółzdarze pajęczyny  
Przesądów, przywar, lajdactw, zastarzanych głupot.  
Jego rozgrzewał gniewny stóp ludowych tupot,  
Prawda, pisana ogniem na bander czerwieni,  
I ludzie, ludzie, ludzie walką połączeni.  
Nie zleknie się katowskich kleszczy i toporów,  
Kogo święty Wolności błogosławił porzyw.  
Pod szubienicą głowę podniesie zuchwałą,  
Kogo w boju Swobody tchnienie oiewało.  
Wszędzie, gdzie walkę ludzie podejmują prawi,  
On się, jak ruch wcielony, w szeregach pojawi,  
I zawsze więcej z siebie da, niżeli bierze,  
Bo on jest z tych, co zwykli oddawać ofierze  
Całe życie

Do końca. Prawdziwie i szczerze.

III

On jednoczył skłóconych, rozmaitych godził,  
Słabym dał wiarę w rozmach wspólnego ramienia.  
On był duszą oddziału, którym współwodził,  
I dla żołnierzy stał się czemś naksztalt sumienia.  
On był z tych, którzy wojsku naszemu skrzydlaty  
Nadają polot w przyszłość — oficer oświaty!

Nas wspólne połączyły marszruty i troski,  
Dzieliłmi się wodą, iskrą w papierosie.  
Gdy śpiew żołnierzy dzwonił po wieczornej rosie,  
Śmieliłmi się, że echo dojdzie aż do Polski.

„Obywatelu generale! Kronikarzu dywizji,  
poruczniku Szenwald melduje się na rozkaz”.  
Dowódca wstał za biurka, uściśnął mu rękę,  
uśmiechnął się. „Siadajcie, kronikarzu”.  
Lucjan w tem przywitaniu wyuczył widać lekce-  
ważenie w stosunku do jego nowej funkcji.  
(Może i nie wiedział wówczas jak bardzo lubi  
bi go i ceni Dowódca). Spoważniał: „Ja, oby-  
watelu generale chcę pisać taką kronikę, na  
jaką zasługuje nasza dywizja, Pierwsza Dy-  
wizja. Ja rozumiem swoje zadanie tak: potrze-  
ba mi do tego...” Wylicza. Przedstawia plan  
działania. Wręcz żąda. Jest bezwzględny, gdy  
chodzi o wykonanie zadania. Tem właśnie bie-  
rze Dowódcę. „Dostaniecie prawo wglądu  
wszędzie. Musicie wszystko wiedzieć. Oczywiście”.

Po wyjściu od Dowódcy powiada: „No, wid-  
zisz. Pewnie, że nasz generał rozumie, co  
to znaczy kronikarz. Dał mi prawo... I znów  
wylicza.

Uzbrojony w tę niepisana przepustkę Do-  
wódcy wciska się wszędzie. Użera się przede-  
wszystkiem z oficerami sztabu: „Dlaczego ja  
nic nie wiem o takim rozkazie? Dajcie kopję...”  
„Ależ poruczniku, to przecież ściśle tajny  
rozkaz”.

I jako tej planety przyjazne odbicie,  
Co pierwsza wschodzi, gaśnie ostatnia o świecie —  
Tak dzisiaj od tła wspomnień moich się oddziela  
I trwa osobno, oku pamięci widoma —  
Twarz krępa, niby ziemniak z oczkami wesela,  
I cała twoja postać życzliwego gнома.

Wjechałeś w wawóz, między krzewów żywopłoty,  
Wiozłeś raport — nie wiedząc, że wieszysz  
[testament.

Nagle niebo ściemniało — to były te same,  
Któreś ponad Warszawą przelął, samoloty.  
O, dzielny wojowniku! Ty, coś ongi w kraju  
Skromnem imieniem Skruchy zdobył swoje pióro,  
Coś zawsze na historii walczył przednim skrajem —  
Śmierć Twoja była życia Twego częścią wtórą!

Wy, którzy tak żarliwie o szczęściu marzycie:  
Zapalcie cel daleki przed swoją tęsknotą!  
Jeśli w życiu nie będzie spraw droższych nad życie,  
To lepiej czołem w ciemność uderzyć, jak w błoto.  
Uczcie się goreć! Weźcie pod światło czterdzieści  
Lat swego świadomego życia — i pomyślcie:  
Albo w tej szczypcie ogień-twórca się pomieści,  
Albo wiatr dni rozwieje w ironicznym świecie  
I zasypie imiona, i kości pobielei.  
Uczcie się żyć, abyście umierać umieli,  
Aby po waszej wiernej, surowej (żołnierce  
W pamięci trwała jakaś światłość niewybuchła,  
Ażeby po człowieku, kiedy jego serce  
Przestanie bić — zostało jeszcze coś prócz truchła!

IV

Niema go — i uwierzcie trudno, że go niema,  
Chcę uściśnąć prawicę, z mroku wyciągniętą,  
I pustą przestrzeń chwytam rękami obiema.  
Żołnierzom jakby światła połowę odjęto,  
Siedzą przy kołach lawet, posępni i struci,  
W jednym zamknięciu powiek utracili życie!  
Gdzie on? — Przy wsi spalonej śpi w bratniej  
[mogile,  
Śpi — i żadna go siła z martwych nie ocuci.

Kapitanie Dąbrowski! Niech kwitnie grób świeży,  
Opuść salutującą rękę — prac jest wiele.  
Nie patrz tak, Zośko Okrę! Chodźcie, przyjaciele!  
Walką uczcimy tego, który w grobie leży.

Jeszcze nieraz przy piersi wroga warknie nagan,  
Nieraz się noga w drucie kolczastym zagmatwa,  
Jeszcze dużo pocisków, jeszcze wiele zmagañ,  
Zanim bestja zatoczy się i padnie, martwa.

W gąszczu krzaczastym łańcuch piechoty się  
[chowa,  
Szumi w chłodnym powietrzu liść śmiertelnie  
[chory.

Noc mętna od kropelek mgły, październikowa,  
Klaniają się z lotniska długie reflektory,  
Wzlatują serje rakiet, rośnie kanonada...

Ognia! Artyleryjska niech szaleje burza!  
Marsz! Marsz! Niech piechur we krwi niemieckiej  
[unurza  
Ręce po łokcie! Niech bastjony w proch rozetrze!  
Wysadzić gniazdo zbrodni w powietrze,  
[w powietrzu!

Rzeki zakipią, lasy strzaskane zapłoną!  
My wściekłym polonezem przez ziemię spaloną  
Przejdziemy — nasza ręka nieulekła przejdzie  
Po wnętrzościach gadziny, przez czarne osierdzie,  
I dotarłszy do środka, wyrwie gruczoł jadu!  
Jakim bezmiarom ulgi westchnie wyż i padół!  
Ściśnięta spazmem ziemia jakże się rozkurczy!  
Jakim rumieńcem lico Ojczyzny zaświeci,  
Gdy zbłąkane do piersi jej przypadną dzieci!  
Wtedy szumie mi, Wisły zielonkawę fale,  
Pieśń o tych, co polegli ku Ojczyźnie chwale!

Front na Smoleńszczyźnie

22 października 1943 r.

„Moja kronika też jest tajna. Głupi jesteście.  
Nie dajecie pisać Historji, nie rozumiecie, że  
kronika...”

Kronikarzu „Kadłubek” stał się postrachem  
wszystkich oddziałów sztabu dywizji. Ale lu-  
bili go wszyscy. Doceniali — nie wszyscy. W  
skrzynce Lucjana rosły góry kartek. Przewer-  
towaliśmy je kiedyś wieczorem i zrozumiałem  
wtedy jego wszystkie utarczki z władzą: ma-  
terjał był bezcenny.

„Kiedy ja to wszystko zdązę uporządko-  
wać” narzekał.

Na froncie zachodnim, pod Wiazmą, w  
pierwszych dniach września Lucjan miał wie-  
czór autorski. Na ocienionym placu między  
ziemiakami zebrano się kilkunastu oficerów.  
Nie brak wiernych chłopców z rusznicy. Zna-  
lazł czas i Dowódca, by posłuchać jego poezji.  
Lucjan nadszedł z nieodstępnym autorem  
przewieszonym przez ramię. Twardym kro-  
kiem podszedł do prowizorycznego stołu, roz-  
łożył swoje papierki. Było w tym kroku i coś  
z profesora kroczącego przez salę wykładową  
na katedrę, i z żołnierza maszerującego na  
wykonanie zadania. Lucjan z dumą mówił o  
sobie, że jest oficerem oświatowym.



Zapadł już zmrok, gdy Lucjan odczytywał ostatni swój wiersz: „Umarlej“.

Dziś wiemy już: „Umarla“ żyje, jest w Warszawie, czeka.

Lucjana niema.

W Nikołajewce przeniósł się już na stałe do nas. Z nami wędrował, z nami spał na podłodze w izbie, z nami pracował po nocach. Uważał się sam i myślnie go właściwie uważali za oficera naszego Oddziału Operacyjnego Sztabu Kościuszkowskiej Dywizji. Współdziałanie było pełne: Romek i ja mówiliśmy o poezji, on — o ostatnich rozkazach sztabu. W noc przed wyruszeniem pod Lenino nie dał spokoju Dowódczemu.

„Musicie pozwolić mi być na punkcie obserwacyjnym dowódcy dywizji“.

„Ależ poruczniku, tam mogą być tylko najniezbędniejsi oficerowie, tam nie wolno robić tłoku“.

„Jakto niezbędnější? A wy cóż myślicie, że Historia to zbędna rzecz?“

Gdy zobaczył, że nie przełamie regulaminów wojskowych, zażądał, żeby pozwolono mu iść na pierwszą linię. Zajęci i zniecierpliwieni dowódcy machnęli ręką: niech idzie.

Poszedł nocą z pierwszym batalionem pierwszego pułku na rozpoznanie bojowe. Razem z żołnierzami podniósł się do ataku. Kropił z automatu i krzyczał „hurra“.

Zobaczyłem go w drugim dniu walki. Szedł polem zasmolony, brudny z rozjaśnionymi jak wtedy w Charkowie oczami.

Wieczorem czyścił automat. W nocy napisał „Balladę o Pierwszym Batalionie“.

Teraz doceniali już wszyscy kronikę i kronikarza odznaczonego Krzyżem Walecznych i Czerwoną Gwiazdą.

Do bitwie — znów Nikołajewka. Październikowy chłód, mgły, szaruga. Wieczorem chodziliśmy w trójkę, Lucek, Romek i ja przez pola w ciemności do stodoły, w której mieściło się kasyno oficerskie. Lucjan brał nas pod rękę i tonem poważnym i żartobliwym razem skandował po raz setny wiersz o „astro-nomie Pandafilanda“.

Przed stodołą zatrzymaliśmy się. Padał deszcz, koledzy patrzyli na nas, stojących przed stodołą, jak na warjatów. Lucjan kończył wiersz. Braliśmy od niego pogodę ducha. rozdawał ją szczerze.

Przez Smoleńsk przejeżdżaliśmy razem. Na centralnej ulicy miasta samochód zatrzymał się. Nasz głos głuchym echem rozlegał się na ulicy: domy bez stropów i okien dawały złowieszczą akustykę.

Lucjan wyszedł z samochodu. Szedł na palcach, zajął do jednego domu, drugiego: pustota, cisza. Wraca.

„Słuchaj, to cmentarz. Miasta niema. Jeśli przyjdzie nam przejechać do takiej Warszawy“.

Pierwszy raz widziałem Lucka tak przygnębionego.

W zasypanej śniegiem białoruskiej wiosce Bobry — zniknął. Zamieszkał na skraju wioski, w chacie pod nagimi grabami. Przez dwa tygodnie nie wychodził prawie z domu, pisał. Spotykaliśmy go rzadko, gdy przybiegał do „Achacze“ po naftę. „Widziałeś coś podobnego? — oburzał się. — Nie chcę mi dać nafty; nic nie rozumiem. Czy ja w sprawie nafty mam iść do dowódcy dywizji, czy jak?“

Pisał kronikę wierszem. Był tak pochłonięty myślami, żył wśród swoich wizyj poetyckich, że w życiu codziennym miewał najkomiczniejsze przygody. Zagadaliśmy się kiedyś do późnej nocy. Kilka godzin pozostaliśmy do brzasku przespaliśmy razem. Przez kilka dni stały potem pod ścianą dwa prawe „walonki“. W dwóch lewych Lucjan chodził po świecie.

W jakiś czas potem, zimą jeszcze, w naciętej izbie w baonie sanitarnym odczytywał swoją pracę — poemat „Przez linię frontu“.

Wybaczyłem mu „walonki“. Zrozumiałem, czemu przepadł w Bobyrach. Myślał był w kraju — przeszedł przez linię frontu.

We wiosce Reja pod Żytomierzem wpadł któregoś kwietniowego dnia do mojej chaty, usiadł zadyszany na ławie, głowę oparł na stole.

„Co się stało, Lucjan?“  
Długo nic nie mówił, wreszcie wykrztusił: „Przepadła“...

„Co przepadło, Mów!“  
„Kronika... Odsyłają mnie do Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych. Co ja tam będę robił?... Ja tam będę „wykładać“, a tu kronika niech się sama pisze... Kończy się historia naszej Kościuszkowskiej Dywizji“...

Był zropaczony. Nie sposób było wytłumaczyć mu, że jest tam widać potrzebniejszy, jeśli taki jest rozkaz, że i tamta praca go pociągnie. Po kilku tygodniach otrzymuję list od jednego z elewów szkoły: „...a najwięcej lubimy kapitana Szenwalda. Kiedy mówi o literaturze, słuchamy wszyscy z napiętą uwagą. Wieczorami pomagają nam przy nauce o broni, jest ciągle z nami“...

W czerwcu spotkałem Lucjana w lesie pod Kiwercami, na kilka dni przed zakończeniem szkoły.

„Wiesz, to piękna robota — mówi — jaką satysfakcję daje postęp tych ludzi. Jak oni wyrosli! To będą wspaniali żołnierze demokracji. Jak oceniasz moją decyzję pozostania na następny kurs?“

Taki był Lucjan.

W drugiej połowie sierpnia, na wieczorze literackim w Teatrze Miejskim w Lublinie sala gorąco oklaskiwała wiersz Lucjana Szenwalda „Elegja na śmierć Mieczysława Kalinowskiego“.

Elegja na śmierć...

Ostatni raz spotkałem Lucjana na ulicy w Lublinie na kilka dni przed ową tragiczną nocą. Wysiadł zakurzony z samochodu, przyjechał prosto z frontu. Wczoraj w nocy był na przeprawie na Wiśle. Otaczają go koledzy — poeci; pytają nie o te pięć lat, pytają go co na Wiśle. Lucjan, ostatni raz mówi o Pierwszej Dywizji.

Przegadaliśmy pół nocy. Mówił o Polsce. O tem co jest i o tem co będzie. Wierzył, że będzie tak, jak marzyliśmy. Pełen pomysłów i inicjatywy. Żał mu porzucić dywizję, ale kto wie czy nie czas do duszy Kraju zajrzeć. Zupełnie inna niż oczekiwaliśmy.

„Do Warszawy chce wejść jeszcze z dywizją“...

O zmroku na cmentarzu wiejskim, kilkanaście kilometrów od Wisły, dowódca z rękami miękko złożonymi na krzyż stał nad drewnianą trumną w niezasypanym grobie. Zebrał się oficerowie, kościuszkowcy, i ci z korpusu, i ci z Pierwszej Armii, przyjaciele i ludność wiejska, garstka chłopów, kobiet w chustach, dzieci — przyszła żegnać kapitana Wojska Polskiego. Nad grobem dowiedział się, że w trumnie tej leży poeta, który wracał z Uralu do Kraju. Ktoś mówił nad grobem: „Żegnaj, Lucku!“ Ktoś inny mówił: „Obywatele generale, może wkrótce będziemy mogli przynieść te zwłoki do Warszawy“.

A potem padły na trumnę grudki ziemi.

„Do Warszawy chce wejść jeszcze z dywizją“.

Wejdzie z dywizją — jej kronikarz, jej pieśniarz, żołnierz, poeta, kościuszkowiec.

Józef Sigalin

## Pierwsze zebranie literatów polskich

Dnia 1 września 1944 r. odbyło się w Lublinie walne zebranie Związku Zawodowego Literatów Polskich. W imieniu Komitetu Organizacyjnego Związku kpt. Sigalin otworzył zebranie minutą milczenia ku uczczeniu pamięci pisarzy, zabitych w czasie działań wojennych, zamordowanych przez Niemców, lub zmarłych w ciągu pięciu lat okupacji niemieckiej.

Słowo wstępne wygłosił kierownik resortu kultury i sztuki, Wincenty Rzymowski. W przemówieniu swoim mówił Rzymowski o wysokich zadaniach literatury w przełomowym momencie historii, w którym żyjemy i za który wziąć musimy odpowiedzialność. Pokolenie obecne, podobnie jak w okresie romantyzmu, pragnie głosu, któryby był jego głosem. Pisarze współcześni powinni sprostać temu zadaniu. Dziś mogą przemawiać do 30-to milionowego narodu, nie tylko do garstki uprzywilejowanych. Ukazać wielomiljonowemu czytelnikowi nową rzeczywistość, wyrazić ją w słowie — powinno być celem każdego pisarza. Jest to praca odkrywczą i płodną, jak praca uczonego i badacza.

W imieniu przedstawicielstwa rządu radzieckiego prof. Grigorjew powitał przedstawicieli literatury polskiej, zebranych na pierwszym zjeździe pisarzy polskich na wyzwolonym obszarze Polski. Mówił o sympatjach narodu rosyjskiego dla literatury polskiej i współpracy między obu narodami. W ciągu lat wojny literatura w Związku Radzieckim nie umilkła, utwory pisarzy radzieckich oddychają miłością ojczyzny i nienawiścią do wroga. Prawdziwymi patriotycznymi artystami — mówi prof. Grigorjew — to duma z tego, co było najlepsze w przeszłości wszystkich narodów. Prawdziwy patriotyzm to przeciwieństwo nacjonalizmu. Przemówienie swe zakończył prof. Grigorjew życzeniami przyjaznej współpracy między pisarzami radzieckimi i polskimi i wznosił okrzyk: „Jeszcze Polska nie zginęła“.

W imieniu Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego Wojska Polskiego przemawiał por. Korta, podkreślając znaczenie literatury, jako czynnika wychowawczego dla żołnierza. Życzenie, aby literatura polska stała się strawą duchową ludu polskiego, aby lud zasilil jej szeregi, zmieniając oblicze kultury narodowej, wyraził w swym przemówieniu Leon Pokora.

O podziemnym życiu literackim Warszawy pod okupacją hitlerowską mówił Mieczysław Jastrun, zastrzegając się, że wobec najzupełniej zakomunikowanego charakteru literatury w tym czasie, sprawozdanie jego musi być cząstkowe i niepełne. W ciągu pięciu lat okupacji pisarze polscy byli ciągle na granicy życia i śmierci, każde ich słowo mogło być słowem ostatnim. Mimo to, pisano wiele; powstawały zbiorki wierszy, poematy, powieści i utwory dramatyczne. Wiersze i poematy znanych poetów krążyły w odpisach maszynowych, ukazywały się niekiedy w pismach podziemnych, lub czytane były na wieczorach literackich. Krążyła po Warszawie obszerna drukowana antologia wierszy licznych poetów m. in. zamieszczono w niej również utwory poetów emigracji: Tuwima i Broniewskiego. Ukazywały się także inne zbiorki i antologie: pieśni patriotyczno-rewolucyjne, utwory partyzantów. Ostatnio ukończono prace nad antologią polskiej liryki demokratycznej, obejmującą okres od Mickiewicza do dnia dzisiejszego. Szereg powieści, tomów poezji i utworów dramatycznych czeka na druk. Jeśli te rękopisy nie sponęły podczas powstania w Warszawie, będą świadectwem, że nawet najszerszy ucisk nie jest zdolny stłumić życia duchowego narodu. Obok objawów depresji i mglistego mistycyzmu zarysowały się już u niektórych pisarzy warszawskich kontury nowego realizmu, u poetów — widoczna reakcja przeciw formom symbolicznym na rzecz konkretności i jasności wyrazu poetyckiego.

O środowisku lubelskim informowali obecnych: młody poeta Jerzy Pleśniarowicz i Stanisława Zakrzewska.

Redaktor Karol Kuryluk zdawał sprawę z ruchu literackiego we Lwowie w latach 1939-41. Tu powstało pismo literackie „Nowe Widnokreśli“, tu wychodziły książki polskie, tu pracowali w tych latach polscy pisarze z Boyem-Zeleńskim na czele.

Po wejściu Niemców zginęli z ich ręki m. in. Boy - Zeleński, Halina Górńska, Ostap Ortwin,

Dzieje Lwowa literackiego do roku 1941, oraz dzieje pisarzy, którzy wymigrowali do Związku Radzieckiego są tematem sprawozdania Adama Ważyka. Zwraca on uwagę na bujność życia literackiego w tym okresie, na działalność Jerzego Borejszy, jako dyrektora Ossolineum i redaktora podręczników dla szkół polskich, przypomina zbiorowe prace poetów nad przekładami z poezji rosyjskiej i ukraińskiej, z których najwybitniejszą pozycją jest książka przekładów z poezji Majakowskiego. W roku 1942 wznowiono w Kujbyszewie „Nowe Widnokreśli“, w których ukazały się fragmenty z powieści Wandy Wasilewskiej pt. „Tęcza“ oraz utwory Putramenta, Szemplińskiej, Pasternaka, Szenwalda, Wendego i Ważyka. Niektórzy literaci poświęcili się agitacji antyhitlerowskiej przez radio. Powieść Wasilewskiej „Tęcza“ ukazała się w przekładzie rosyjskim i szwedzkim. Autorka otrzymała za nią nagrodę stalinowską. W roku 1943 „Nowe Widno-

kreśli“ przeniosły się do Moskwy. Tu powstał Związek Patriotów Polskich, który zaczął organizować armię. Z chwilą powstania Wojska Polskiego rozpoczyna się nowy okres emigracji polskiej.

Dziejami literatów polskich w armii zajmuje się w swym referacie Leon Pasternak. Pracowali oni jako kronikarzy korpusów, byli kierownikami literackimi teatrów żołnierskich, autorami inscenizacji i widowisk, oficerami polityczno-wychowawczymi i linowymi. Adam Ważyk wydał w Moskwie tom wierszy „Serce granatu“. Leon Pasternak zbiorczy p. t. „Słowa zdaleka“. Ostatnio ukazał się zbiór wierszy Szenwalda.

Jerzy Stanisław .ec zdaje sprawę z początkami literackich partyzantów polskich. Partyzanci nie wydali wprawdzie żadnego poety-literata, ale z szeregow ich wyszli bezimienni autorzy pieśni obozowych.

Emigracji polskiej, na zachodzie i na bliskim Wschodzie poświęcił kilka uwag Putrament. W drugiej części obrad wygłosił Putrament odczyt o zadaniach literatury. Prelegent zwrócił uwagę na niedocenianie roli literata w Polsce przedwrzesniowej. Czytelność rekrutowała się prawie wyłącznie z warstw: t. zw. górnej. Pisarz czuł się osamotniony i oddalając się coraz bardziej od społeczeństwa, zamykał się w końcu w kapliczce. Ta postawa pisarza była z gruntu fałszywa. Wojna pokazała pisarzowi, że bez narodu jest on niczem. Uspołecznienie sztuki pozwoliło pisarzowi zająć odpowiednie stanowisko w życiu narodu. Wojna przeobraziła również krąg odbiorców książki. Złożyły się na to ogromne straty, jakie poniosła inteligencja polska, również wymordowanie Żydów, asymilowanych przez kulturę polską, osłabiło znacznie środowisko czytelników.

Tymczasem wyrosła nowa warstwa dorobkiewiczów wojennych, warstwa bez żadnych podstaw moralnych, utuczona na krwi współobywateli. Także wśród inteligencji nastąpiło zastraszające obniżenie poziomu moralnego, intelektualnego, zupełny zanik zmysłu politycznego i zrozumienia stających się przemian dziejowych.

Pisarzy czeka praca nad podniesieniem moralnym tej grupy społecznej, praca nad budową jedności narodowej. Bazą tej jedności w chwili obecnej jest wojsko, gwarancją naszej niezależności i demokracji. Zadaniem pisarzy jest teraz organizowanie nienawiści do Niemców. Jeśli nawet twory w tym duchu nie zdołały wydać dzieła, które przejdzie do potomnych, obowiązkiem naszym jest praca dla współczesności.

Nawiązując do wywodów J. Putramenta, Józef Wasowski mówi o wielkiej pracy, jaka czeka pisarzy, pracy nad umoralnieniem zdeprawowanych przez okupację niemiecką warstw społeczeństwa. Dlatego w Związku Literatów w odrodzonej Ojczyźnie zasiadać powinni tylko ludzie moralnie zdrowi, wolni od zarazy faszyzmu.

Występuje jeszcze kilku mówców, zabierając głos w dyskusji, poczem przystąpiono do wyboru tymczasowego zarządu. Jawnem głosowaniem zebrani wybrali tymczasowy zarząd związku, w skład którego weszli następujący pisarze: M. Jastrun, K. A. Jaworski, J. Pleśniarowicz, J. Przybos, J. Putrament, J. Wasowski, A. Ważyk.

Po odczytaniu telegramów, jakie nowy Zarząd postanowił wysłać do Związku Pisarzy Radzieckich w Moskwie, do Pen-Clubu w Londynie, New-Yorku i w Paryżu, obrady zakończono.

## On

Jeszcze się wkłada w nasze sprawy,  
Jeszcze we wszystkie wnika sfery,  
Prorok fałszywy, łeb mętawy,  
Zmora minionej dawno ery.

Wszystko odrząca, wszystko gani,  
Polityk z palni koziowolskiej,  
Kołtun z boyowskiej „Moja pani“,  
„Straszny mieszczanin“ z mózgiem Dulskiej.

Do dzisiaj czuje się w niewoli,  
Wspólnego nie chce mieć nic z wojskiem,  
Pokątnie więc handlować woli  
W swoim mieszkanku. (Pożydowskiem).

A gdy wieczorem, swój lichwiarski  
Zarobek z dnia całego zgarnie,  
Stąpa dostojny, prawy, dziarski,  
By porajcować w swej kawiarni.

Szanuje w knajpie go pikolak,  
Gdy monopolkę leje rajcy:  
— On jeden przecież w Polsce Polak,  
On mono-Polak, reszta zdrajcy!

On tylko w Londyn wierzy święcie  
I na swój patriotyzm klnie się,  
Że jego Polskę ma w prezencie  
Święty Mikołaj...czyk przyniesie.

Pod jego modli się figurą,  
A — drań — Hitlera ma za skórą.

Janusz Minkiewicz



Przejście przez Bug.

Fot. Wł. Forbert.